MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 47. WARSZAWA, 4 LISTOPADA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLSKA i WĘGRY

TAK jak niedawny kongres Slawistów zaktualizował sprawę naszych stosunków ze Słowiańszczyzną, tak teraz znowu wizyta ministra Gömbösa (z uporem przez gazety z niemiecka Goemboesem nazywanego) zaktualizowała zagadnienie polsko-węgierskie i nanowo wciągnęła do dyskusji ten odwieczny, stary jak nasza historja temat.

I temat niezmiernie ciekawy, — byle tylko nie ująć go płytko i banalnie, czy to powołaniem się na pijackie przysłowia i „tradycyjną" przyjaźń, czy też odwrotnie, przekreślając jednym zamachem historję i wskazując na nieubłagane, zdawałoby się, barjery powojennych traktatów. Jedno będzie niemożliwem w swym natręctwie frazesem, drugie bijącą w oczy nieprawdą, bo są rzeczy, które nas zawsze łączyć będą z Węgrami, mimo wyraźnych nawet sprzeczności politycznych dążeń i interesów...

Łączy nas bowiem z Węgrami bardzo istotne i stare braterstwo — owoc jednako przeżytej historji i służby jednym ideałom; — braterstwo, niepojęte może w wieku lekceważenia przeszłości, ale niemniej nawskroś realne, o wiele realniejsze, niż inne nasze pobratymstwa, czasem będące tylko filologicznem jedynie pokrewieństwem. Ażeby nie poczytano mi tego zdania za tak przed chwilą zganiony komunał, legitymuję się zaraz historją — rzeczowo.

Więc pierwszy punkt widzenia: — Jesteśmy członkami świata słowiańskiego, młodszego cywilizacyjnie od Zachodu i tę młodszość podzielają z nami Węgry. To pierwsze źródło naszego braterstwa, ale, gdyby poprzestać na niem, łączyłoby nas z Węgrami tyle tylko, co z innemi słowiańskiemi narodami, a temu każdy, świadomy choć troszeczkę historji polskiej, węgierskiej i wogóle słowiańskiej — napewno zaprzeczy.

Więc teraz punkt drugi: — Podzielamy z sobą nietylko przynależność do Słowiańszczyzny (historycznie oczywiście ujętej, a nie szczepowo), ale także i czas wejścia do historji, skoro oba nasze narody prawie równocześnie chrzest przyjęły, a odchylenie dat na naszą korzyść równoważy z naddatkiem fakt, że na Węgrzech już na długo przed chrztem istniała silna penetracja chrystjanizmu, jakiej u nas niemal nie było, bo ją dopiero właśnie chrzest wywołał, gdy na Węgrzech odwrotnie — ukoronował. Polska za Mieszka, choć oficjalnie katolicka, była takim samym półpogańskim krajem, jak Węgry jego nieochrzczonego szwagra Gézy, rojące się od tolerowanych przez księcia misjonarzy. Taksamo równoczesne są sobie nasze państwa, bo choć tu znowu węgierskie wyprzedza nasze w rocznikach i zapiskach, to jest to tylko złudzenie pierwszeństwa, wywołane tem, że formowało się ono z hordy koczowniczej na oczach ciężko doświadczanego jej łupiestwami Zachodu, gdy nasze, ukryte wśród borów i barbarzyńców, całkiem już silne i sformowane, dostaje się na karty kronik niemieckich, dzięki swym walkom z cesarskimi markgrafami. Ta równoczesność naszego wieku stanowi już podobieństwo istotne i w szeregu narodów wyróżnia nas wzajemnie i zbliża. Historję swoją zaczęliśmy razem, razem weszliśmy wkrąg cywilizacji, a więc narzuca się poprostu przypuszczenie, że jednakowa liczba lat tej historji upodobni nasze cywilizacje rówieśne.

Ale łączy nas z Węgrami jeszcze i coś więcej — jednakowe źródło cywilizacji: Rzym a nie Bizancjum. I tu kryje się jądro zagadnienia, bo choć są wśród Słowian narody rzymskie, jak Czesi, to jednak my i Węgrzy jesteśmy ostatniemi geograficznie z rzymskich narodów, a to tworzy między nami tak silny węzeł, jakiego gdzieindziej nie znaleźć.

Z tego kardynalnego w swem znaczeniu faktu, że wschodnie granice naszych państw były zarazem wschodniemi granicami świata rzymskiego, i że oba nasze społeczeństwa były przedmurzami chrześcijaństwa, walcząc od zarania swych dzie-

jów z bizantyńsko-turańskiemi elementami Wschodu, wypływa całe wyjątkowe podobieństwo naszej wzajemnej historji, a przez nie także podobieństwo obu dusz narodowych, mimo że rasą i charakterem jesteśmy sobie zupełnie obcy.

Brak miejsca nie pozwala mi się szerzej nad tą kwestją rozwodzić, temat jest tak bogaty, że o jego wyczerpaniu w jakimś okolicznościowym artykule nawet mowy być nie może, — chciałbym jednak jeszcze jedną sprawę tu poruszyć, i omówić szerzej coś, co choć niezasadnicze jako przyczyna, jest jednak zasadnicze jako skutek, tworząc instynktowne niemal poczucie pewnej duchowej łączności naszej z Węgrami.

To coś, to jednakowy skład społeczny naszych narodów, nadający naszym kulturom jednakowe, ziemiańskie piętno. I u nas i na Węgrzech tak się złożyło, że miast zabrakło, a wobec tego naród uosobiła bardzo liczna szlachta, tak, że prawie wyłącznie jej dziełem jest cały jego duchowy dorobek; — inne warstwy stały na uboczu, a wchodząc z biegiem czasu w życie narodowe, chcąc nie chcąc podciągały się pod wszechwładny szlachecki styl cywilizacji. To też drugich w ten sposób jednostronnych społeczeństw w całej Europie niema, a to zbliża nas do Węgrów, tembardziej, że w całej Słowiańszczyźnie, oni jedni obok nas i Chorwatów, reprezentują „historyczny" w swej ciągłości naród, w przeciwieństwie do „wskrzeszonych", mających poważne luki w swych historjach, takich Czechów, czy Bułgarów. Tradycja ziemiańsko-szlachecka naszej kultury, jej dworska wiejskość (bo chłopską wiejskość ma np. kultura Serbji) wyróżnia ją znamiennie od wszystkich innych kultur Europy i zostawiłaby nas na uboczu, samotnie, gdyby nie analogiczne Węgry. To, co nas wyodrębnia od całego niemal świata, łączy nas silnie z Węgrami, taksamo, jak i my, społecznie egzotycznemi, bo również pozbawionemi stanu trzeciego.

A skoro szlachta oprócz cech swoich narodowych, dzielonych tem samem z innemi warstwami, wszędzie ma pewien jednolity charakter i pewne cechy stałe, wypływające z jej rycerskich założeń: kultu honoru, męstwa, wierności, kobiety — więc te ogólnoszlacheckie cechy weszły w nasze dusze narodowe i zbliżyły przez to obce sobie zrazu nasze charaktery. Obu naszym cywilizacjom, mówiącym jednym duchowo językiem, przepojonym jednakowym stylem życiowym, mającym te same ideały, łatwiej często się wzajemnie zrozumieć, niż z jakąkolwiek inną, na innym układzie społecznym opartą i inny wobec tego styl posiadającą. Dlatego naprzykład, mimo niewątpliwego pobratymstwa i dużej wspólnoty interesów, brak u nas nieraz owej głębszej sympatji do Czechów, a nawet wręcz przeciwnie, bywa niejednokrotnie jakaś wysoce niepożądana niechęć, której zwalczanie dosyć ciężko idzie i ciężko nadal iść będzie, skoro jest to, wrodzona nam niemal, niechęć do krańcowo nam przeciwnego, drobnomieszczańskiego stylu czeskiej kultury. Podobnie w niechęci do Niemców, oprócz wszystkich antagonizmów granicznych tkwi także i ziemiańska antypatja do miejskiego charakteru ich cywilizacji, opartej nie na błyskotliwym, szlacheckim honorze, ale solidnej, mieszczańskiej uczciwości.

Wręcz inaczej jest z naszym stosunkiem do Węgrów i dlatego choćby wszystko inne nas dzieliło, — nigdy nie będziemy się czuć sobie wzajemnie obcy; zbyt jesteśmy zespoleni przez jeden ideał cywilizacyjny i jednakową strukturę społeczną.

KAROL STEFAN FRYCZ

KOMPETENTNY GŁOS PRZESTROGI

NA NAJBLIŻSZEJ, a zarazem ostatniej sesji zwyczajnej obecnych ciał ustawodawczych będą musiały rozstrzygnąć się losy projektu konstytucyjnego p. Cara, zbyt pohopnie uchwalonego przez klub B. B. w dniu 26 stycznia r. b., a potem po krótkiej radości, oficjalnie wytwarzanej, zawisłego w opuszczeniu i niepewności między Sejmem a Senatem.

Że uchwała ta istotnie nie jest przemyślaną i dostatecznie dojrzałą, tego dalszy dowód dostarczyło złożone w czasie lata oświadczenie prezesa B. B. posła Sławka, podważające projektowaną konstytucję w jednym z jej najbardziej zasadniczych punktów t. j. kwestji t. zw. „legjonu zasłużonych", mającego stanowić, jako „elita", oparcie dla nowego ustroju. Z usunięciem pomysłu „elity" pozbywa się projekt p. Cara wprawdzie pozycji bardzo kwestjonowanej, ale zarazem traci cechę oryginalności i sprowadza się do szablonu państwa biurokratycznego *(Beamtenstaat)*.

Wśród niebywałego chaosu pojęć i tendencyj, wytworzonego na tle wspomnianej uchwały z 26 stycznia r. b., dobrze się stało, że ze strony najbardziej kompetentnej, z pod pióra senjora konstytucjonalistów polskich, prof. Stanisława Starzyńskiego wyszły w najnowszym (4 — 5) zeszycie lwowskiego „Głosu Prawa" — „Rozważania konstytucyjne", poświęcone krytycznemu omówieniu projektu kostytucji p. Cara. Autorytet naukowy Rektora Starzyńskiego dodaje szczególnej wagi jego głosowi. Jest to kompetentny głos przestrogi, który powinien być wzięty pod rozwagę w ciałach ustawodawczych, jeżeli większość ich pragnie istotnej naprawy ustroju, któraby dała państwu i społeczeństwu normalne warunki bytu i rozwoju, nie zaś stworzyła tylko nowy instrument walki politycznej w rękach rządzącego dziś Polską obozu. Przedewszystkiem zaś opinja Rektora Starzyńskiego powinna być dokładnie znana w najszerszych sferach naszego społeczeństwa, by mogła rozproszyć rozmaite lekkomyślne i bałamutne sądy, szerzone często bez zrozumienia istoty sprawy, ani tembardziej dalszych nieuniknionych a ciężkich dla Polski konsekwencyj, gdyby nadano jej ustrój nieodpowiedni, wyrosły nie z potrzeb życia narodu, ale jednostronnej doktryny.

Jako podstawowy błąd projektu p. Cara uznaje Rektor Starzyński koncepcję wyłącznej suwerenności prezydenta Rzeczypospolitej. Reprezentacja narodowa nie jest, według tego projektu, nawet współsuwerenem, lecz zostaje zaliczona, wraz z wojskiem, rządem, sądami, samorządem terytorjalnym i gospodarczym do organów państwa, pozostających pod zwierzchnictwem prezydenta. Słusznie Rektor Starzyński nazywa walkę projektodawców z doktryną trójpodziału władz walką z wiatra-

kiem. Projektodawcy ci istotnie szczycą się swem rzekomem zwycięstwem nad Monteskjuszem, ale to wyliczenie *pari passu* wojska i samorządu z rządem i sejmem dowodzi, że obcą im jest wszelka idea klasyfikacji organów państwowych, co nie może być uznane za postęp w nauce...

Wnioskodawcy, stwierdza z pełną racją Rektor Starzyński, uważają sejm tylko za instrument potrzebny do uchwalenia budżetu, ażeby było z kim podzielić się odpowiedzialnością za rzeczy przykre, t. j. za nakładanie ciężarów publicznych, za długi i deficyty.

Projektodawcy nowej konstytucji głoszą, że „zrywają z parlamentaryzmem" i że, pozostawiając sejm, wybrany w pięcioprzymiotnikowem głosowaniu, wyznaczają mu właściwe miejsce w „hierarchji". Słusznie prof. Starzyński zauważa, że sejm, jako reprezentacja narodu, stoi poza hierarchją. Nikt nie stanie w obronie sejmokracji, ale można się obawiać, mówi on, aby przez spychanie sejmu na coraz podrzędniejsze miejsce, nie doszła kiedyś dzisiejsza większość sejmowa do przekonania, że sejm jest tylko niepotrzebnym balastem, który należy odrzucić, albowiem „nie czyni zadość poczuciu odpowiedzialności" i niedość się liczy z groźnemi słowy art. 26 projektu nowej konstytucji, że „funkcje rządzenia państwem nie należą do sejmu". Wtedy bowiem — oświadcza wyraźnie i zdecydowanie Rektor Starzyński, widząc jasno punkt końcowy podobnej ewolucji — nastąpiłby koniec już nietylko parlamentaryzmu, ale k o n s t y t u c j o n a l i z m u.

Poddaje krytyce Rektor Starzyński zagarnięcie całej władzy suwerennej dla Prezydenta, obarczanie Prezydenta wyłączną i niepodzielną odpowiedzialnością za akta, wchodzące w zakres jego uprawnień osobistych czyli t. zw. prerogatyw, które uznaje za zbędne, wreszcie zaliczone także do jego uprawnień „harmonizowanie działania naczelnych władz państwowych oraz rozstrzyganie konfliktów między temi organami". To ostatnie uprawnienie przedstawia się uczonemu statyście dość zagadkowo.

Nie możemy na tem miejscu wchodzić w szczegóły i omawiać wszystkich uwag krytycznych prof. Starzyńskiego co do rozmaitych szczegółowych, ale tem nie mniej ważnych postanowień projektowanej konstytucji, przerasta to bowiem ramy artykułu. Wrócimy zresztą do nich w toku obrad nad konstytucją w ciałach ustawodawczych.

Ciekawą jest specjalnie ogólna opinja tak wybitnego znawcy prawa konstytucyjnego o projekcie. Opinję tę prof. Starzyński formułuje w słowach następujących:

„Każdy nieuprzedzony i rzeczywiście bezstronny czytelnik, który porówna omawiany tu projekt konstytucji z obowiązującą dziś ustawą konstytucją z 17 marca 1921 r., musi dojść do przekonania, że ten projekt chybia zupełnie celu, zamiast bowiem poprawić dzisiejszą konstytucję, mającą różne braki i strony ujemne, i w ten sposób nadać Polsce konstytucję istotnie dobrą, nadałby on Polsce ustrój znacznie gorszy od dzisiejszego, bo zapatrzony w doktrynerską formułkę z u p e ł n e j n i e o d p o w i e d z i a l n o ś c i i p e ł n e j s u w e r e n n o ś c i P r e z y d e n t a i wyciągający stąd te wszystkie ujemne konsekwencje, które uczyniliśmy przedmiotem analizy".

Genezę projektu objaśnia prof. Starzyński w ten sposób:

„Nie przeczę, i uznaję, że autorowie i twórcy uchwały sejmowej z 26 stycznia kierowali się pewną ideologją o wyższym poziomie, której wyraz znajdujemy w pierwszym rozdziale tej uchwały, ale ta ideologja była wielce j e d n o s t r o n n ą, zapatrzoną tylko w m i r a ż s i l n e j w ł a d z y, s w o i ś c i e p o j m o w a n e j, i gdy przystąpiono pod tym kątem widzenia do pracy konstruktywnej, zatracono wszelki umiar i w zapale reformatorskim zapędzono się na bezdroża".

Czem byłaby Polska, według Rektora Starzyńskiego, w razie zrealizowania projektu nowej konstytucji?

„A dziś w razie wejścia w życie nowej konstytucji, której treść naszkicowaliśmy, nie moglibyśmy określić nowego ustroju Polski inaczej, jak słowami: co do t r e ś c i i d ą ż n o ś c i: nastawienie wybitnie antysejmowe, co do nazwy: Prezydentokracja, co do i s t o t y r z e c z y: monarchja z królem obieralnym, niekoronowanym i nieodpowiedzialnym na czele, z władzą o bardzo daleko sięgających możliwościach".

Bardzo ciekawe i pouczające jest pojmowanie przez prof. Starzyńskiego dyktatury. „D y k t a t u r ą" — mówi senjor polskich konstytucjonalistów — „j e s t j u ż k a ż d e r z ą d z e n i e p o z a p r a w e m, w b r e w l i t e r z e i d u c h o w i p r a w a, c h o ć b y w a k s a m i t n y c h r ę k a w i c z k a c h — każde nieszczere omijanie czy naciąganie prawa, c z y l i w y t w a r z a n i e „r z e c z y w i s t o ś c i" o d m i e n n e j o d „r z e c z y w i s t o ś c i p r a w n e j", do czego, jak wiadomo, w Polsce doszło, i co twórcy projektu konstytucji otwarcie przyznali, jak już wyżej zaznaczono".

Za te słowa należy się Rektorowi Starzyńskiemu nietylko szczere uznanie i wdzięczność ze strony całego polskiego świata prawniczego, ale i tych wszystkich w naszem społeczeństwie, którzy są przekonani, że naprawa dzisiejszych stosunków i istotna reforma ustroju nastąpić będą mogły tylko wówczas, gdy przywrócony zostanie s z a c u n e k d l a p r a w a i p a n o w a n i e p r a w a.

WACŁAW KOMARNICKI

LITERATURA STAROCHORWACKA

JUŻ we wczesnem średniowieczu używany był w krajach chorwackich obok łaciny język słowiański. Liczne modlitwy, psałterze, żywoty świętych, opisy cudów pisane są głagolicą. Dowiadujemy się z zaginionego w XII w. psałterza (będącego kopją jakiegoś rękopisu słowiańskiego z VII w. po Chr.), że w odległych wiekach używano pisma głagolicznego do przekładów słowiańskich Psałterza Dawidowego. Odpis tego zagadkowego oryginału sporządzony został w 1222 r. przez Mikołaja z Raby. Posiadamy też z tych czasów urywki mszału-brewiarza głagolickiego. Głuche wieści dochodzą nas o jakimś annaliście Michale z Salina.

Niechętnem okiem patrzał Kościół na rozpowszechnianie się słowiańskiego piśmiennictwa i używanie głagolicy w obrządkach religijnych. Na początku dziesiątego stulecia postanawiano kilkakrotnie (na zjazdach duchowieństwa katolickiego w Dalmacji) usunąć język słowiański z życia kościelnego. Nakazy nie wchodziły jednak w życie. Łacińskie książki kościelne tłumaczono w dalszym

ciągu na język słowiański, a głagolica dominowała. W tej formie obrządki religijne zostały ostatecznie uznane przez papieża Inocentego IV.

W 1248 r. wyraził się Inocenty IV do Filipa, biskupa senjskiego, iż nic nie ma on przeciw temu, żeby język słowiański (gdzie na to zwyczaj pozwala) miał być używany w obrządkach. Podobne upoważnienie otrzymał biskup krcki w XIV wieku. Wnet przepisano dawne rękopisy głagolickie, tłumacząc też z łacińskiego na chorwacki, gdyż duchowieństwo władało niezbyt poprawnie mową klasyczną.

Na głagolicę nie godziły się jednak miasta nadmorskie. Romanizm miast dalmackich nie przestawał nawet w latach 1461 — 1470 godzić w jej istnienie. Tak np. w Splicie, gdzie mieszkańcy byli przeważnie pochodzenia słowiańskiego, rada miejska posługiwała się po większej części językiem łacińskim i włoskim; czasami tylko ogłaszano obwieszczenia po chorwacku. Zabraniano duchowieństwu tłumaczyć Pismo św. na język słowiański, a księży głagolitów nie dopuszczano do kapituł katedralnych. Wywołało to protesty biskupa modruskiego Mikołaja. Naogół jednak rozwój głagolicy nie doznawał od 1248 r. poważniejszych przeszkód. Z 1368 r. mamy mszał głagoliczny, napisany przez Nowaka, syna Piotra, knezia krbawskiego, zachowany w bibljotece cesarskiej w Wiedniu. Podobny mszał z 1387 r. posiada bibljoteka propagandy w Rzymie. Mikołaj, biskup krcki nakazał w 1487 r. podwładnemu duchowieństwu, aby każdy z nich przepisał sobie brewiarz głagoliczny (czasowac). Najdawniejszy z takich brewiarzy nosi datę 1359 r. i przechowuje się w księgozbiorze Lobkowica w Pradze. Bibljoteka propagandy w Rzymie chlubi się brewiarzem z 1382 r., a wiedeńska z 1391 r. Na wyspie Krk znajdują się trzy brewiarze.

Wiek XV obfitował w pomniki głagoliczne z lat 1442, 1456, 1462, 1470 i t. d. Cenny jest mszał, przechowywany w Carogrodzie, przepisany w 1407 r. za czasów księcia splickiego Hrwoi. Znane są też liczne zabytki głagolitów w Bosiejewie, Ozalju, Lipniku i w innych miejscowościach. Głagoliczna literatura zachowała pozatem dla katolickiej ludności Chorwacji i Dalmacji literaturę kościelną. W tym czasie, gdy Kościół, popierany przez romańską ludność, trwał przy języku łacińskim, głagolica reprezentowała element słowiański i przyczyniała się do zachowania obrzędów religijnych w zrozumiałym dla szerokich mas języku.

Głagolica była też pismem oficjalnem. Głagoliczne pisma i nakazy znane są już w XIII w. Najpoważniejszym dokumentem, napisanym głagolicą, jest Prawo Winodolskie z 1280 r., dające czytelnikowi możność poznania działalności starych dalmackich gmin; dalej statut wyspy Krk z 1388 r. i kilka innych dokumentów, normujących życie społeczne kraju. Głagolicą pisano też kroniki. Tak np. najstarsza kronika Jugosłowian (pochodząca, zdaniem uczonych, z drugiej połowy dwunastego stulecia) napisana była przez Duklanczyka głagolicą. Kronika ta nie zachowała się w oryginale.

Oprócz głagolicy używano w Dalmacji cyrylicę, którą zaczęto posługiwać się najpierw w Bośni. Cyrylica była też często stosowana w piśmiennictwie chorwackiem. Pismem cyrylickiem napisany był np. Policki statut, mający duże znaczenie dla historji dalmackich gmin i niektóre, pisane wierszem poematy, jak np. legenda o św. Katarzynie, której autorem jest zakonnik bośniacki Dziwkowicz. Wogóle utwory zakonników z klasztorów reguły św. Franciszka pisane były przeważnie cyrylicą.

Dzięki pismu głagolicznemu ludność słowiańska nie gardziła językiem ojczystym. Od XV w. Dubrownik stał się głównem ogniskiem muz chorwackich. Do najdawniejszych poetów dubrownickich, piszących po chorwacku, zaliczyć można Szyszkę Munczelića-Vlakowića, Marina-Kristiczewića, Marro Vetranića, Marko Marulicza i w. in. Rozrosło się też bardzo piśmiennictwo słowiańskie w samej Chorwacji podczas reformacji. Celem pozyskania południowych Słowian dla protestantyzmu zostały założone drukarnie z czcionkami cyrylicznemi i głagolicznemi. Bibljografja zapisała liczne wydawnictwa cyryliczne, które wyszły z tych drukarni. Tak np. w drukarni Ungnada, znanego działacza protestanckiego, wytłoczono 25.000 egzemplarzy rozmaitych pism protestanckich w języku chorwackim i słowieńskim. Drukarnię jego za panowania Ferdynanda II przeniesiono do Rzymu. Odtąd czcionkami Ungnada drukowano tam brewiarz głagoliczny.

Protestantyzm w Chorwacji przemawiał językiem narodowym. Protektorem nowej nauki był Juryca Zrinjski, syn bohatera sygeckiego, który w posiadłości swojej Nedelisztach na Medjimurju założył drukarnię chorwacką i za namową Michała Buczića, wikarjusza na Bielicy, wydał *„Katekizan ili krczanski nauk"*, a nawet podobno i przekład Nowego Testamentu. Za przykładem Nedeliszt poszedł Warażdyn, gdzie założono też drukarnię z czcionkami słowiańskiemi. Piękną kartę w piśmiennictwie chorwackiem owych czasów posiada kanonik zagrzebski Antoni Vramec. Napisał on w języku ojczystym Ewangelję na niedziele i piątki i kronikę p. t. *„Kronika kratka szlovenskim jezikom zprawliena"*.

Na początku XVI w. duchowieństwo dalmackie krzątało się bardzo energicznie około wydawnictw głagolicznych. Sylwester Beldriczić, arcydjakon senjski, dowiedziawszy się, że jego rodak Grzegorz Senjanin założył w Wenecji drukarnię głagoliczną, wezwał go do Segna, aby tam wydać podręcznik dla plebanów. Niewiadomo, czy Grzegorz przeniósł się do Rjeki; są jednak ślady, że tam była drukarnia głagoliczna. W Rjece bowiem wydrukowano dzieło Szymona Koziczića Zadranina, biskupa modruskiego p. t. *„Od žitija rimskich archiereov i cesarov, od Petra i Jedija daže do tadacih Klimenta sedmoga i Karla petoga"*. Pozatem Koziczić wydał „Mszał chorwacki". W leksykologji zaś zasłużył się Faustyn Vranczić, biskup csanadzki, autor dzieła: *„Život niekolika izabranih divic"*.

Co się tyczy świeckiej literatury chorwackiej, to przodował w niej wówczas Dubrownik. Powstało tam w XVI w. kółko pieśniarzy, zwane *„Concordia"*; członkowie tego kółka zajmują na Parnasie chorwackim poczestne miejsce. Obok dubrownickiej, kwitły także w szesnastem stuleciu szkoła hwarska i zadarska.

W XVII w. odznaczyło się na polu piśmiennictwa głagolickiego wielu zakonników, pobudzonych przez protestantyzm. Tak np. prowincjonał Franciszkanów z klasztoru trsackiego, Glavinić i zakonnik tejże reguły Rafał Levaković, uzyskawszy pozwolenie od papieża na drukowanie głagolicą

założyli drukarnię w Rjece. Levaković, oprócz innych książek treści pobożnej, wydrukował „Mszał głagoliczny". Jezuita Jan Tomko Mrnavić, kanonik szybenicki wydał też w języku chorwackim szereg prac.

Zakonnicy położyli również poważne zasługi dla rozwoju piśmiennictwa w Bośni. Stworzyli oni literaturę ludową, zaspokajającą nietylko religijne, ale i oświatowe potrzeby bośniaków. Przez pewien okres czasu używali też Franciszkanie cyrylicy. Najprzedniejsze między tymi zakonnikami miejsce zajmują: kapelan sarajewski Matija Divković i Stefan Matijević.

Niedługo jednak posługiwano się cyrylicą, która nie cieszyła się sympatją w Rzymie. Już w drugiej połowie siedemnastego stulecia drukowano książki bośniackie czcionkami łacińskiemi, któremi wytłoczono dzieła Pawła Posilovića, biskupa skradyńskiego, Stefana Margitića i Jana Anczića.

Czołowe miejsce w ówczesnej literaturze chorwackiej zajął Jan Gundulić, którego najwybitniejszem dziełem jest „*Osman*". We właściwej Chorwacji, t. j. z wyłączeniem Dubrownika i wysp, uprawiano przeważnie literaturę ascetyczną. Na tem polu wyróżnił się Jezuita Mikołaj, rodem z Sisku, nazwany „sartoryuszem". Ciekawą jest również książka „*Putni towarusz*", pióra Katarzyny Frankopanowanej; mąż jej, Zrinjski, był synem Jerzego, założyciela drukarni protestanckiej w Nedelisztach. Zaszczytne miejsce w literaturze chorwackiej zajmuje także Piotr Zrinjski. Sławił on męstwo pradziada swego, bohatera sygeckiego, Mikołaja. Należy wspomnieć też o jezuicie Jerzym Habdeliću, który obdarzył ziomków swoich wieloma pracami.

Historyków w ówczesnem piśmiennictwie chorwackiem reprezentowali: Gabryel Jurjević z Waraždynu, który swoje „*Listi heroov, to je velikih na glasu liudi*" dedykował Adamowi Zrinjskiemu, Juraj Ratkaj Toporski, autor historji królów i banów chorwackich, Jan Lućić z Trogiru, którego prace prof. Klaić nazywa „kamieniem węgielnym historji Bośni, a poniekąd Chorwacji i Dalmacji" i Paweł Ritter Vitezović; między pismami historycznemi tego ostatniego pierwsze miejsce zajmuje „*Kronika aliti spomen svego svijeta*".

Osiemnaste stulecie jest świadkiem ciekawego zwrotu w literaturze chorwackiej. Zbieranie podań i pieśni ludowych stało się bodźcem do odrodzenia ducha narodowego w literaturze. Pierwsza książka ludowa, osnuta na tle życia wieśniaka, wyszła z pod pióra zakonnika, Andrzeja Kaczića Mioszića. Zbierał on podania i pieśni ludowe, których owocem była książka „*Razgovor ugodni naroda slovinskoga*", czyli „*Pismarica*". Część pierwsza tego utworu opiewa przeszłość junaków „*slovinskih*" do upadku Carogrodu, druga zaś mówi o junkach, walczących z Turkami. Lud czytywał skwapliwie tę książkę, która wyszła w trzech edycjach. W ślady Kaczića poszedł Reljković, który w utworze poetycznym „Satyr" opiewał zwyczaje Slawonji, tudzież jej dawne stanowisko w cywilizacji.

Jako historycy znani też byli w owych czasach: Adam Baltazar Krczelić, kanonik zagrzebski, który wykazał prawa korony św. Stefana do Chorwacji, Sławonji i Dalmacji, jezuita Daniel Farlatti, franciszkanin bośniacki Filip Lastrić z Ocevje i Jambresić.

S. KOTWICA

NOWE RZECZY O SZEKSPIRZE

(Dokończenie)

NIE potrzeba wiele wyobraźni, żeby wystawić sobie stan moralny rodziny Szekspira w tej epoce. Mieszek próżny wskutek nakładanych kar, tak że ojciec musiał zaciągnąć długi na ziemię żony, Mary Arden. Do kłopotów materjalnych dołącza się obawa przed szeryfem, bardzo przecież gorliwym, jak świadczy specjalne podziękowanie Rady królewskiej dla niego. Miał na swem koncie 6 wyroków śmierci. Testament duchowy Johna Shakespeare, znaleziony przed półtrzecia wiekiem pod strzechą jego lamusa, gdzie był schowany widocznie w momencie rewizji, dokonywanej przez sir Thomas'a Lucy, świadczy o moralnych niepokojach byłego burmistrza.

To wyznanie wiary jest uczynione według formuły, przeznaczonej do rozpowszechniania w krajach, gdzie praktyki religijne stały się utrudnione. Miała ona dać wiernym, obawiającym się śmierci bez pociech religijnych, możność podpisania aktu, ważnego przed obliczem Przedwiecznego. Ułożony w Medjolanie pod kierunkiem św. Karola Boromeusza, tekst ten został przetłumaczony przez Campiona i jego misjonarzy, udających się na pełną niebezpieczeństw misję do Anglji. Campion przez cały rok ukrywał się i działał w Warwickshire, dopóki, zdradzony, nie został stracony razem z dwoma towarzyszami (2 grudnia 1581). Jedenastu innych członków tej misji powieszono w ciągu roku 1582-go, roku małżeństwa Szekspira. Wynalezione przez Herberta Thurstona hiszpańskie, włoskie i in. teksty testamentów, zgodne słowo w słowo z testamentem Johna Shakespeare, potwierdzają jego autentyczność, wbrew twierdzeniom, pragnącym przedstawić akt ten jako fałszerstwo późniejszych lat.

Otóż jedenastu członków misji katolickiej Campiona zawisło na szubienicy w ciągu roku 1582, roku małżeństwa Williama Szekspira. Według tradycji ślub poety odbył się w kościołku w Luddington, koło Stratfordu, w lecie 1582, a ceremonji miał dopełnić jeden z kapłanów prześladowanego Kościoła, może Hugh Hall, mieszkający u matki poety, uwięziony w roku następnym. Jednak licencja ślubna, akt, który nadawał małżeństwu moc prawną, wydany został przez biskupa anglikańskiego Whitgifta dopiero 27 listopada, na siedem miesięcy przed urodzeniem córki Szekspira, Zuzanny. Usiłowano twierdzić, że ta licencja była otrzymana w ostatniej chwili, w celu ratowania opinji przyszłej matki. Jednak we współczesnych komerażach nie znajdujemy śladu podobnej plotki, natomiast ostrożność, z jaką ów biskup Whitgift wydał ten akt, wskazuje wyraźnie, że było to uprawnienie ślubu, który mógł wywołać przykry konflikt z władami. Mianowicie Whitgift kazał sobie złożyć kaucję w sumie 40 funtów (tyle

był wart sklep i całe obejście rodziców Szekspira; zdobyto tę sumę, wydzierżawiając ziemię Hathaway'ów, rodziny panny młodej) i dać zobowiązanie ponoszenia kosztów obrony prawnej biskupa, o ile miałby z tego powodu jakie nieprzyjemności. Ten biskup anglikański był dostępny dla argumentów, skłaniających go do tolerancji, dawał upoważnienia na śluby katolickie, a później, jako cenzor, puścił niejeden druk podejrzany, w tym wypadku jednak wykazał wielką ostrożność, gdyż wiedział, że rodzina Arden (krewni matki poety) jest „inwigilowana".

Sprawa Arden — Sommerville, dziś zapomniana, była w tamtej epoce prawdziwą *cause célèbre*, gdyż w niej po raz pierwszy ustawy elżbietańskie zastosowano do osób z wyższych sfer, reprezentujących najbardziej cenione cnoty szlachty angielskiej. Cała ich wina polegała na tem, że mieli niezrównoważonego zięcia i że znalazł u nich przytułek ksiądz Hugh Hall.

Rewizje i aresztowania, dokonane przez sir Tomasza Lucy w licznej asyście, wywołały wielkie wrażenie w całej okolicy. Przytoczymy ustępy z protokułu rewizji, ponieważ jest on bardzo interesujący, a oprócz tego spotkamy osoby tu działające jeszcze w dalszym ciągu opowiadania.

Protokuł nosi datę 17 listopada 1583 r. w Charlecote, rezydencji sir Tomasza:

„...Sir Tomasz Lucy, p. Griffin i niżej podpisany udaliśmy się do domu Edwarda Graunta w Northbrooke, a p. Egliamby oraz p. Burguin udali się do domu Halla w Idlicote. Obie rewizje odbyły się jednocześnie. Przeszukanie domu Graunta wykryło tylko jedną książkę p. t. „Cenzura", ukrytą w sypialni nad baldachimem łóżka. Leżała ona tam, jak się zdaje, od dłuższego czasu. W kufrze Elżbiety Sommerville znaleźliśmy książkę, zatytułowaną „*Hore Beatae Mariae*". Joice Hall zeznał, że El. Sommerville przywiozła tę książkę swemu bratu i że ten po jej przeczytaniu uczuł wielki zamęt w swych myślach. Dowiaduję się, że ta kobieta jest bardzo złośliwą i przewrotną papistką, bawiła niedawno na kontynencie, jak to wynika z listu, pisanego przez nią do matki z Saint-Omer. Mimo całej gorliwości, z jaką pragnę zgłębić zasięg tej zdrady, obejmującej, według mego skromnego zdania, więcej papistów, oprócz Sommervilla i Halla, trzeba żeby Wasza Cześć wzięła pod uwagę, że w domach, przeszukiwanych przez nas, mimo, iż należą do notorycznych papistów, nie znaleźliśmy nic, ani książek, ani szkaplerzy, ani krucyfiksów lub innych błahostek, które mogłyby stanowić dowód katolicyzmu. Aresztowanie Ardena ostrzegło ich wszystkich"...

„Mimo, iż proces Johna Sommerville dobrze był mi znany" — pisze p. Longworth-Chambrun — „jednak trudno się było oprzeć wzruszeniu na widok pergaminów z wielkiemi pieczęciami królowej i przy odcyfrowywaniu wyroków, mocą których Edward Arden, John Sommerville, Hugh Hall skazani zostali na szubienicę i ćwiartowanie, Marja Arden (ciotka Szekspira) na spalenie żywcem „za zdradę główną przeciw osobie Królowej Pani".

Śmierć tych skazańców nie uśmierzyła gorliwości sir Tomasza Lucy. Ogłoszono już dokumenty, wyliczające liczne dokuczliwości, którym winny kłusownictwa, czy nie, podlegał Szekspir ze strony kasztelana z Charlecote; adnotacja na jednym z tych dokumentów brzmi: *He dyed a papist* (zmarł jako papista).

Jest rzeczą pewną, że sędzia pokoju w swoich badaniach usiłował nieustannie przedstawić przekroczenia Willa, jako zbrodnie przeciw bezpieczeństwu państwa. Sir Tomasz potrafił rozwinąć w swoim okręgu taki terror, że młody William musiał uciekać, żeby uniknąć kary, poważniejszej niż chłosta. Uchodząc, opuszczał rodzinę w ciężkiem położeniu materjalnem. John, jego ojciec, uwikłany był w procesy bez końca; figuruje on na liście „opornych", ułożonej przez sir Tomasza, który nie wyrzekł się wykrycia spisku katolickiego. Na tej liście widnieją również nazwiska: Wheelera, który razem z John'em zrezygnował z urzędu miejskiego, sąsiadów Bardolpha i Fluellena, występujących w teatrze Szekspira.

Ale ta denuncjacja była ostatnią szykaną starego wroga. Od roku 1593 powodzenie młodego Willa w Londynie pozwoliło jego rodzinie zająć znów słoneczne miejsce w miasteczku. Posiadłość ustaliła się znów i dawny burmistrz otrzymał prawo używania herbu. Jak wytłumaczyć tę zmianę fortuny? Co się stało, że Will Shakespeare mógł tak rychło wziąć rewanż na szlachciurze, swym prześladowcy i ośmieszyć go publicznie (sędzia Shallow w „Wesołych kumoszkach" to karykatura sir Tomasza)? Oto Will znalazł potężnego protektora.

W Londynie żył wówczas wielki pan, dość możny, choć katolik, żeby być w stanie osłaniać swych współwyznawców: Antoni Browne, wicehrabia Montague, który jedyny spośród parów zwalczał ustawy elżbietańskie, jako niepotrzebne, niesprawiedliwe i niemądre. „Czyż można" — wołał — „wymyśleć większą tyranję, niż zmuszanie kogoś pod grozą śmierci do przysięgania, że jakaś idea jest prawdziwa, kiedy sumienie mówi mu, iż jest fałszywa? Gdzie jest potrzeba podobnych ustaw? Wiadomo każdemu, że katolicy nie wywołują żadnych nieporządków w państwie, nie urządzają dysput, nie wygłaszają kazań, są posłuszni królowej"... Zachowanie się hr. Montague podczas walk z Hiszpanją, kiedy wystawił oddział wojska własnym kosztem i stanął wraz z synem i zięciem na jego czele, nie pozwoliło na pomówienie go o brak patrjotyzmu. W jego pałacu w Londynie znajdowali przytułek Jezuici i pewno tam nawet drukował swe odezwy Campion. Do jego wiejskiej rezydencji przybywała sama królowa z całym dworem, grano tam teatry, a pierwsza wypłata, dokonana teatrowi Szekspira za przedstawienie na dworze, podpisana jest przez lady Southampton, córkę hr. Montague. Jego wnukowi, młodemu Southamptonowi, Szekspir „zawdzięcza wszystko", jak sam pisze. Jego bibljoteka była otwarta dla poety, tam zrodził się w nim ów entuzjazm dla literatury Italji, tam wszedł w kontakt z Giovannim Florio, autorem zbioru przysłów, z których Szekspir czerpał obficie. Florio był też tłumaczem Montaigne'a, którym Szekspir jest formalnie przesiąknięty. Tam spotkał on również braci Danvers, którzy przez kilka lat przebywali na dworze Henryka Nawarskiego i mogli zaznajomić poetę z życiem dworu francuskiego. To też gdy przyszła chwila, kiedy patron zwrócił swój miecz przeciw tyranji królowej, poeta oddał swe pióro na służbę wolności sumienia.

Nie trzeba powtarzać, że od dnia, w którym zginął Essex, a protektor poety został zamknięty w londyńskim Tower, muza poety straciła swój uśmiech. W tragedjach z tej epoki cnota jest karana, a zbrodnia

triumfuje, największe zalety prowadzą bohaterów do zguby. Lecz z jaką radością wita Szekspir uwolnienie Southamptona i wstąpienie na tron Jakóba, nad czem obadwaj pracowali. Nie trzeba zapominać, że jeżeli pierwszym aktem syna Marji Stuart był zwrot tytułów i mienia Southamptonowi, to drugim był przywilej monopolu teatralnego dla Szekspira. W tych warunkach twórczość poety, nie krępowana niczem, staje się jeszcze bardziej oryginalna, ale i tu Southampton poddaje mu pomysły. Przygody jego statku, rozbitego koło Bermudów, dają temat do „Burzy“, a ten, komu poeta poświęcił „pierwszy twór swej inwencji“, poddał mu i ostatni temat w r. 1610, dziwną przygodę księżniczki francuskiej w „Straconych zachodach miłości“.

„Leslie Hotson szczęśliwą odkrył ręką zeszłego roku w *Record office* sprawozdanie o zatargu Szekspira z policją w dzielnicy teatrów w Londynie. Jest tam mowa o właścicielu teatru Williamie Shakespeare, pewnej wdowie i służącej, grożącym śmiercią niejakiemu Wayte, agentowi sędziego pokoju Gardinera. Jeżeli się wie, że dwaj ci ludzie są sprzymierzeńcami szeryfa, sir Tomasza Lucy, to ten wypadek z kroniki policyjnej dowodzi nam, że dramat, zaczęty w Stratfordzie, toczył się dalej w Londynie. W zapiskach misjonarzy z tego czasu udało mi się wykryć sprawozdanie z przygody, która zgadza się we wszystkiem z tym zatargiem z policją. Chodzi o rewizję, dokonywaną w domu, sąsiadującym z teatrem, gdzie grano „Hamleta“. Opisano tam, jak damy z rodziny Southamptona zdołały ocalić księdza Johna Gerarda, podczas gdy mężczyźni ze szpadami w ręku bronili wejścia. Dwa te raporty są zgodne tak co do miejsca, jak co do czasu i wszystkich szczegółów. Jakże tu nie dostrzec, że poeta i jego protektor byli wiecznie w walce z tymi, którzy stosowali elżbietańskie ustawy?“

Niebawem zostaną ujawnione jeszcze ciekawsze przyczynki. A nowe światło, promieniejące z dawnych źródeł, potwierdza tylko tezę, którą krytyka wiktorjańska usiłowała zniszczyć, nie przewidując, że otwiera w ten sposób wrota anarchji.

LONGWORTH-CHAMBRUN

SŁOWO O RYMACH

PANUJĄCE obecnie na polskim rynku wydawniczym pospólstwo poetyckie, w poczuciu swojej bezsiły, gdzie może, tam „tworzenie” sobie ułatwia. Wśród tych zabiegów i nad techniką wytwórczości swojej takie rozpostarło ulgi ochronne, że w ich cieniu nawet urzędnicy bez ujmy dla sztuki rynkowej mogliby przystąpić do masowego w biurach wyrobu utworów poetyckich. Do ułatwień tych należy także wprowadzenie asonansów, czyli bezdźwiękowców, jako reguły w wierszowaniu z tolerowanym, zresztą, gdy się zdarzy, rymem pełnym.

Z powodu owych niby-rymów drewnianych zapłonęły niedawno w prasie polskiej błędne ogniki polemiczne i prędko pogasły, nie wywołując żadnego nigdzie pożaru idejowego. Trudno o pożar, coprawda, na tem w poezji nowoczesnej torfowisku duchowem. Ale polemika dała jedną korzyść pośrednią: sformułowała kilka argumentów w obronie asonansów. Sama ocena argumentów obronnych w znacznym stopniu oświetli nam wartość bezdźwiękowców.

Główny argument obrony asonansów ujmuje sprawę ogólnie i rozstrzyga ją zasadniczo w słowach następujących:

„Jeśli w kulturze współczesnej wzbiera coraz silniej wielki prąd wyzwalania świata z pęt schematyzmu, to asonans już przez to samo ma pełną i dostateczną rację bytu”.

Bardzo ciekawa jest tu budowa argumentu, utrzymana w trybie pół-warunkowym: „jeśli prąd wzbiera, to asonans ma rację bytu”. Dobrze. A jeśli nie wzbiera? Autor jednak nie zaprząta sobie głowy przypuszczeniem, które sam z lasu wywołał, i milcząco uznaje, że wzbiera. Ale dlaczego w takim razie obwarował się zwrotem zależności? Widocznie fundament argumentu spoczywa na ruchomych piaskach podświadomej niepewności autora.

Otóż, istotnie, w kulturze współczesnej wzbiera prąd przeciwny. Argument obrońcy asonansów jest w przybliżeniu o sto lat spóźniony. Z łatwością udowodnić można, że jak w całej kulturze, tak i w sztuce kończą się wybujałości indywidualizmu, a zaczyna się nawrót do tego, co autor celowo oczernił nazwą „schematyzmu”. Z powrotem zyskują sobie posłuch powszechny pewne cechy i pewne prawa ogólne, konieczne i nieuniknione, a świat obecnie wyzwala się z anarchji, a nie ze schematyzmu, z rozpasania, a nie ze spętania.

Dobre, z pewnością, serce ma obrońca asonansów, skoro nietylko pomiędzy poezją a światem zgody szuka, ale i poetów pragnie „wyzwolić przez asonanse z oków i tyranji rymu pełnego”. Warto byłoby, doprawdy, zobaczyć wyraz twarzy naszego dobroczyńcy poetów w chwili, gdy od nich właśnie dowiedziałby się, że rym i rytm — to dwa cudowne skrzydła poety, które unoszą go wysoko ponad prozę — w muzyczne kręgi poezji... I to rym pełny, o przeróżnych stopniach stopu i cechach dźwięku, a nie zachrypłe, drewniane kołatki asonansów... Rym pełny wyzwala poetę z oków i tyranji racjonalizmu literackiego.

Jakże tu jednak przed oblicze muzyki powoływać obrońcę asonansów, gdy on z niej drwi, jako z przeżytku poetyckiego, jako z „kanonu poetyki bodaj osiemnastowiecznej”, według którego „wiersz musi śpiewać, musi grać, mieć rym, takt i melodję”. Z własnych oto słów obrońcy asonansów widzimy, że mamy tu do czynienia z poezją głuchoniemych, do której

„asonans wnosi motyw niespodzianki, rozrywa umyślnie harmonję dźwiękową, pozwala skupić uwagę nie na zbieżnościach, ale na przeciwieństwach, zaostrza naszą wrażliwość, poszerza zdolność odczucia”.

Tylko głębokiem kalectwem organicznem można wytłumaczyć wychwalanie tego, co w jakiejkolwiek sztuce umyślnie rozrywa harmonję — tę każdego artyzmu opokę, która nietylko podobieństwa łączy, ale i przeciwieństwa. Tylko grafomanja ugania się za niespodziankami w sztuce i wyłącznie w zgrzytach je widzi. Tylko starczość poszukuje takich przypraw dla zaostrzenia tępej

wrażliwości i powstrzymania sklerozy odczuć artystycznych.

Na przytoczeniach powyższych kończą się pozytywne argumenty obrońcy asonansów. W zakończeniu ujmuje on je we dwa ciekawe, bo wzajem sobie przeczące zdania następujące:

„To też wprowadzenie asonansów skłonni jesteśmy uznać za największą zdobycz formalną nowych poezyj. Oczywiście, o wartości wiersza nie decydują ani asonanse, ani pełne rymy, ani wiersz wolny, ani też takt i melodja".

Cóż-to zatem za największa zdobycz formalna, która żadnego na wartość wierszy wpływu nie ma? Pominąwszy jednak sprzeczność, cenne jest raz jeszcze powtórzone oświadczenie, że dla owej poezji asonansowej muzyczna strona mowy i sztuki, na mowie opartej, poprostu nie istnieje. Co, istotnie, w utworach jej naocznie się potwierdza: „Wawrzynem — kto inny. Bliziuteńko — maleńcy. Na bok — słaba. Bielmem — niepodzielnie. Sztuce — onuczy. Sypia — skrzypiec. W sofie — kartofle. Ławki — zakwitł. Ruska — pluskwy. Wszedł — powietrze"... takie oto są typowe rymy sztandarowej poetki asonansowej: Praktyka asonansów warta ich teorji.

Poezja wierszowana zawsze dążyła do wartości muzycznych, co przedewszystkiem objawiało się właśnie przez układanie mowy w harmonje wierszowe. Języki starożytne nie posiadały dosyć giętkości na rymy, jedynem przeto wiązadłem ich poezji wierszowanej był rytm. Niekiedy aliteracje i onomatopeje pomagały do zdobienia ich poezji, ale ta pomoc nie mogła wyjść poza ramy wyjątków efektownych. Oprócz rytmu jedyną stałą muzykalnością poezji starożytnej była harmonja dźwiękowa słów w całym ich ciągu, oraz ich zestawień. Dopiero wielostronne bogactwo języków nowożytnych pozwoliło na wprowadzenie do poezji wierszowanej rymu, jako nowej stałej i niezwykle barwnej wartości muzycznej.

Stan muzykalności nowożytnej poezji wierszowanej przedstawia się zatem, jak następuje: w podstawie jej leży harmonja dźwiękowa całego ciągu słów, czem, zresztą, posługuje się również poezja prozaiczna. Na tem tle powstają aliteracje i onomatopeje, ale z natury rzeczy stanowią zawsze zjawisko wyjątkowe. W atmosferze dźwięczności słów stale czynne są natomiast dwie słoneczne siły poezji — rytm i rym, które przyrównałem do skrzydeł poety. Wprawdzie i w prozie czynny jest rytm, ale nie ma on miary nad sobą, która w poezji wierszowanej wynosi go z poziomu czynności oddechowej na szczyty artyzmu samodzielnego. Oto całkowity inwentarz środków muzycznych nowoczesnej poezji wierszowanej. Nie jest on zbyt obfity, ażeby można go było zubożyć o tak zasadniczą, jak rym, wartość muzyczną.

A zresztą, ktoby zechciał wyzwalać poezję „z oków i tyranji rymu pełnego", musiałby dla tych samych powodów uwolnić ją z kajdan rytmu, z łańcuchów harmonji dźwiękowej, z ciężkich kłód budowy utworu poetyckiego i tak dalej i dalej, albowiem niema czynnika w poezji (jak też w każdej sztuce), któryby nie był skrępowaniem twórcy i ograniczeniem jego pracy do pewnych norm, co zła wola może nazwać schematyzmem. Rytm nie jest łatwiejszy od rymu, ani harmonja słów i zdań, ani budowa — od rytmu. Wyzwólmy poezję z pęt tych wszystkich „tyranij", a pozostanie... „wszedł — powietrze".

Twórczość jest ograniczaniem się. W poczuciu tej prawdy poezję wierszowaną ojcowie nasi nazywali „mową wiązaną", a wiersz „wolny" miał także nazwę wiersza „białego", a to w znaczeniu bezbarwności (na zasadzie bowiem prawa synestezji dźwięk wywołuje wrażenie koloru). Asonans jest, właściwie mówiąc, dysonansem i dlatego nie wiąże utworu w całość, ale go zgrzytami, jak pazurami, na strzępy rozszarpuje, z malarskiego zaś punktu widzenia wnosi brud i szarzyznę. Wiersz biały nie ma dysonansów, ponieważ programowo trzyma się zdaleka od najmniejszego bodaj podobieństwa dźwiękowego w zakończeniu ogniw rytmicznych. Dysonans tylko wtedy powstaje, gdy ostatnie dźwięki tych ogniw upodobniają się wzajem częściowo, niedbale i nieudolnie, co właśnie z umysłu czyni poezja asonansowa. Zaś konsonansem, czyli współdźwiękiem jest tylko rym pełny.

Pozostawmy snobom wzgardliwe krzywienie się na rymy typu „oczy — warkoczy". Ich upozowany przesyt rymami prostemi z dwu przyczyn wynika: 1⁰ (uwaga ich zwrócona jest tylko na rymy, z pominięciem innych wartości utworu poetyckiego, a i w tej pustej zabawie w rymy nie o dźwięk, nie o wartość muzyczną dbają, ale o trudność lub łatwość wymyślenia danego rymu; 2⁰) pamięć ich napchana jest setkami tomów minionej i bieżącej grafomanji, ta zaś, jako rojowisko rymorobów, dawno już wyczerpała wszystkie rymy słownika i wszystkie spospolitowała. Obżarstwo snobów pozbawia ich prawa do sądów w sprawach smaku artystycznego.

Kto nie uczestniczy w masowem strzelaniu do butelek rymowych w gwarze strzelnic podmiejskich, dla tego każdy rym pełny ma piękno swoiste pod warunkiem, że słowo, rymem obarczone, jest w danem miejscu nieodzowne i nieuniknione. Czy mogą być rymy do „ustrzelenia" łatwiejsze, niż np. „zdrowie — dowie, ozdobie — po tobie" i tym podobne? A takich rymów pełno w „Panu Tadeuszu", a także w najwytworniejszych utworach niezrównanego złotnika poezji wiązanej, jakim był Słowacki. Jedyną w utworze tajemnicą artyzmu rymów pełnych jest nieodzowność słów, które niemi dźwięczą. Stopienie rymu z treścią logiczną i artystyczną w jeden dzwon spiżowy, lub dzwonek srebrny — oto czar, którym władają tylko prawdziwi, a zatem — nieliczni poeci.

Różnica wartości muzycznych pomiędzy asonansem a rymem pełnym jest następująca: asonans, jako że jest dysonansem, zawsze jest brzydki — czy wzięty sam w sobie zosobna, czy umieszczony w utworze poetyckim, chociażby słowo nim obarczone było w danem miejscu nieodzowne i nieuniknione. Natomiast każdy rym pełny sam w sobie, zosobna wzięty zawsze jest piękny, a jeszcze większej piękności nabiera w utworze, gdy słowo, które tym rymem obarczono, jest w danem miejscu nieuniknione.

Dlaczego jednak rym pełny brzydnie jakoby, staje się śmieszny i przykry, kiedy tkwi w słowie zbytecznem, za uszy ze słownika wyciągniętem i tylko dla rymu w końcu wiersza umieszczonem? Powstaje tu złudzenie zmysłów naszych: na rym spada wina innych czynników, jak słowa fałszywie umieszczonego, wrażenia zepsutego i t. p., co łatwo uzmysłowić, np. przez umieszczenie pięknego kapelusza kobiecego na głowie ułana. Oburzenie nasze wyładuje się przeciw kapeluszowi,

ale niesłusznie. Takiemu zapewne wypadkowi uległ obrońca asonansów, kiedy piorunem cisnął w rym „oczy — warkoczy".

Istnieją, oczywiście, pewne odchylenia od rymu literalnie pełnego, ale zdarzają się rzadko, jako wyjątki w poezji współdźwięcznej (konsonansowej), a przytem są tak drobne, a w drobności swojej wdzięczne, że można udzielić im praw rymu pełnego. Istnieją, dalej, pewne różnice w wartości rymów pod względem formy gramatycznej słów, niemi obarczonych. Im dalsze są sobie słowa rymowane w swoich formach gramatycznych, tem więcej wytworności nabiera rym, który je wiąże. (Z tego powodu rym „oczy — warkoczy" wcale nie na ostatniem miejscu tej skali się mieści). Ale jest to skala dla rymów pozorna, bo w niczem ich muzyczności nie zmienia, wnosi ona jedynie motyw mniejszej lub większej niespodzianki rymowej. Niema zatem potrzeby, jak tego chce obrona asonansów, uganiać się dla niespodzianek po ostach i pokrzywach zgrzytów asonansowych. Niespodzianka, niosąca dźwięczną, a niepodejrzewaną, harmonję dwu słów dalekich, daje o wiele szlachetniejsze zadowolenie muzyczne. Istnieją, wreszcie, — metodyści, którzy wszystko ważą, mierzą, liczą, rubrykują...

Metodyści w swojej skali rymów najwspanialszych, wspaniałych, doskonałych, najlepszych, lepszych, dobrych, znośnych, miernych i złych doszli do rymów „częstochowskich" i tem mnie w najwspanialsze wprawili zdumienie. W przypuszczeniu jednak, że pogarda rymów częstochowskich (jako rymów) kryje w sobie jakieś ziarenko słuszności, którego ja dotychczas odkryć nie mogłem, przyłapałem pewnego razu (w przejściu od poezji do zecerni) kolegę redakcyjnego i znagła go zapytałem: „Panie Wacławie! Co to jest, właściwie, rym częstochowski?", a on mi na to bez chwili namysłu odpowiedział: „Rym częstochowski to jest rym Kochanowskiego". Oto odpowiedź! Brawo! Tak jest. I względem owych rymów częstochowskich metodyści, a za nimi asonansiarze ulegli temu samemu złudzeniu zmysłów, jakie poznaliśmy w wypadku kapelusza na głowie ułana: całe *odium* treści logicznej i artystycznej, tkwiące w pieśni dziada częstochowskiego, przenieśli na rym... Bogu ducha winny! Nie zauważyli zato, że to asonanse doskonale do pieśni dziadowskich pasują: „sztuce — onuczy".

Stosunkowo najrozsądniej bronią asonansów ci, którzy powołują się na przykład, tradycję, lub autorytet poezji ludowej i staropolskiej. Nie sądzę jednak, żeby naiwne pierwociny poezji można było podawać za wzór dla jej okresu dojrzałego. Naśladownictwo zaś pozbawia sztukę samoistności, a szczególnie naśladowanie form pierwotnych, któremu zawsze brak szczerości i rzetelności. Że były okresy asonansowe w historji poezji, że asonanse mogą powstawać i obecnie w poezji ludowej, świadczy to tylko o tem, że rym nie jest rzeczą łatwą, że dana warstwa narodu musi naprzód w całości wznieść się na wyższy poziom kultury, ażeby osiągnąć atmosferę, w której rym będzie odczuty, zrozumiany i wymagany. Rym jest rzeczą trudną. Zdarza się czasem tu i ówdzie, że i największy talent poetycki potknie się o rym nieskojarzony z sensem i artyzmem danego miejsca. Ale czy to jest powód do porzucenia rymów? Czy katastrofy powstrzymują lotnictwo? A rozbicie nosa o rym nie należy chyba do najcięższych katastrof...

W muzyczności poezji wiązanej rym jest ważnem uzupełnieniem rytmu, albowiem koloryzuje go i udźwięcznia. W utworze rytmicznym nierymowanym rytm zanadto ostro i kanciasto występuje na pierwszy plan wrażeń artystycznych, a całą budowę widzimy wtedy jakby poprzez okratowania i żebrowania szkieletu architektonicznego. Otóż rymy umięśniają ten szkielet, osłaniają go dźwięcznością swoją i skórą swojej barwności, a to, co z rytmu przebija się przez mięśnie i skórę, nie jest już kością nagą, ale kształtem i mocniej zaciętym rysunkiem. Rym jako wartość artystyczna poezji idzie równorzędnie z rytmem, i należy do tych odkryć, które zdarzają się raz na wiele tysięcy lat i trwają tysiąclecia. A kiedy trafi na język tak bogaty, giętki i dźwięczny, jak język polski, to wyrastają z tego zasiewu cuda, które na żaden inny język przełożyć się nie dają.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

W DZIEŃ ZADUSZNY

Już mi skóra chropawa padnie na goleni,
Już mi w ptaka białego wierzch się głowy mieni;
Po palcach wszędy nowe piórka się puszczają,
A z ramion sążeniste skrzydła wyrastają.

(Kochanowski)

Cóż stąd, że suchy pada liść
Że wkrótce zima się zaczyna
Że już w zaświaty pora iść?
— Zieleni się ozimina!

Niech gnije w grobie smutna kość,
Strudzone, biedne, puste zwłoki,
Ja, rajskich dziedzin teraz gość,
Polecę pod obłoki.

Popatrzę z góry jeszcze raz,
Zanim w łabędzią dal popłynę,
Na łąki, rzekę, czarny las
I świeżą oziminę.

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Sen historyczny i jawa. — Likwidowanie idei narodowej. — Sławek, Staszic i Supiński. — Istność moralna czy objekt statystyczny? — Karta pobytu i honor. — Czy można wyminąć fakt istnienia Narodu? — Kłopoty mieńszewickie.—Zagadnienie pracy i dobrobytu a państwo. — Zakłamanie.

UŚMIECHAMY się pobłażliwie, czytając dawne fejletony, jakto pisarze pomagali sobie opowiadaniem snów, na które spychało się odpowiedzialność za wygłaszane prawdy. Tymczasem mnie przytrafia się coś podobnego. Ściśle mówiąc, nie snem, lecz pewnego rodzaju halucynacją historyczną chcę sobie pomóc, aby spojrzeć na czas obecny w Polsce z pewnej odległości. W przeszłość pociągnęła wyobraźnię świeżo wydana praca beletrystyczna Wacława Berenta „Nurt"; cofam się o sto kilkadziesiąt lat wstecz i stamtąd widzę siebie przy biurku, czytającego gazety.

Beletrysta miewa tę przewagę nad historykiem naukowym, że pociąga wyobraźnię plastycznemi obrazami, które potem się śnią lub nasuwają się pod pióro przy pierwszem pisaniu. Mam wrażenie, że widziałem się, dzięki Berentowi, z Franciszkiem Karpińskim, z Niemcewiczem, Staszicem, a potem z Dąbrowskim, Wybickim, Kniaziewiczem, że byłem z nimi we Włoszech — w Rzymie na Kapitolu — na polach walki za jakąś sprawę; żeśmy szukali, jak obłąkani, sposobu, jakby zmyć hańbę rozbiorów z duszy polskiej i takiego punktu, z któregoby można było dźwignią ducha podnieść z upadku Polskę. Tak niedawno to było, niemal za naszych czasów; żyje to wszystko w tradycji rodzinnej; byłoby dziwne, gdyby się te rzeczy nie śniły na jawie — tyle z tego do dziś pozostało.

Pozostał ten sam ferment, przerabiający Polskę na ład nowożytny, ta sama nędza materjalna społeczeństwa mało produkującego, ten sam głód ducha narodowego, którydy uczynił organizm polski świadomą dziejów osobowością. To, cośmy przeszli sto kilkadziesiąt lat temu, zanim udało się stworzyć minjaturę Księstwa Warszawskiego i dalej co się działo, — to gehenna. Powieściopisarz-historyk usiłuje rozjaśnić tę otchłań kagankiem kultury, z którym jak Dante błąka się tam mieszczanin Staszic.

— — — — — — — — — — — —

Cóż za ciężki sen! Jawy, jawy! Gdzież jej szukać, jak nie w gazetach? „Gazeta Warszawska" z 29 października 1934. Wiadomość o „samorządzie" miasta stołecznego Warszawy, serca Polski:

„Jak donosiliśmy w swoim czasie, pracownicy miejscy otrzymali do wypełnienia kwestjonarjusz, zawierający — obok zwykłych pytań, dotyczących personaljów pracownika— pytania tego rodzaju, jak: „Czy pracownik zajmował się działalnością społeczną, polityczną?" W wypadku twierdzącym, kwestjonarjusz żąda wyjaśnień w odpowiedziach na pytania: w jakich organizacjach, stronnictwach, kierunkach i t.p.

Kwestjonarjusz wymaga zeznań, ściśle odpowiadających prawdzie, przestrzegając przed zgubnemi dla pracownika skutkami stwierdzenia nieścisłości. Punkt ten wkłada w usta pracownika oświadczenie treści następującej:

„Prawdziwość wyżej podanych szczegółów potwierdzam własnoręcznym podpisem. W razie stwierdzenia niezgodności z prawdą i nieścisłości odpowiedzi, zrzekam się trzymiesięcznego odszkodowania, emerytury i innych świadczeń, przy spowodowanem wskutek tego natychmiastowem zwolnieniem mnie z pracy".

— Jezus, Marja! Czegóż tam się doszukują?— Wpływów obozu narodowego. Czegóż się bać tego wpływu? Przecież ten obóz, nie inny sprawił, że Polska rozbita scementowała się duchem narodowym w jakąś całość moralną na czas wielkiej wojny. Tego właśnie chcieli Kościuszko, Wybicki, Dąbrowski, Staszic — ot, ci właśnie z „Nurtu". Jakież stąd niebezpieczeństwo dla Polski? To nie może być. Trzeba od p. Starzyńskiego z samorządu zaapelować do wyższej instancji ideologicznej.

Właśnie rozbrzmiewa stukrotnem echem mowa p. Walerego Sławka, wygłoszona w Katowicach. Ileśmy to wywalczyli od Niemców: dzisiaj niesiemy już ideę państwową polską na Górny Śląsk! Mowa z Katowic rozlega się echem w Wilnie. Zachowawcze „Słowo" powtarza parokrotnie to echo, zalecając uwagą: „Należy to rozplakatować!" — wielkiemi literami wypisuje tytuł.

„To są wszystko" — tak pisze — „cytaty ostatniej mowy Sławka, miarodajnego i właściwego ideologa całego Obozu Bloku Bezpartyjnego. Należałoby te słowa rozwiesić, rozplakatować, wystawić na widok publiczny"...

Dobrze się złożyło, że budząc się z koszmaru ciężkich wspomnień, trafiamy na akta tak miarodajne dla naszych czasów. Prezes Sławek od tego zaczął:

„Nieraz zastanawiałem się nad tak charakterystycznem dla naszego życia zjawiskiem, jakiem jest płynące ze wszystkich stron żądanie, aby Rząd przyszedł z pomocą to rzemiosłu, to kupiectwu, to znów rolnictwu i t. p. Przecież w okresie panowania rządów zaborczych, rządów wrogich, ten sam kupiec, rzemieślnik, czy rolnik dawał sobie jakoś radę. Dlaczegóż więc dziś rodzi się ta dziwna jakaś bezradność, powodująca ciągłe wołanie o pomoc, ta nieumiejętność ludzka odnajdywanie własnym rozumem i własną inicjatywą jeśli nie dróg do naprawy sytuacji, to chociażby środków zaradczych, umożliwiających własne bytowanie. Rozwiązanie tego pytania — zdaje się — znalazłem.

„Mamy obowiązek" — ciągnął mówca — „iść do wszystkich ludzi, zamieszkających w Polsce, a przedewszystkiem do wszystkich Polaków z tą prawdą, że tylko własnym wysiłkiem zbudować możemy naszą potęgę, że w tej pracy nikt nas nie wyręczy".

Zastanawia to, że Sławek nie mówi do narodu, jak dawni Polacy, lecz „do ludzi, zamieszkujących w Polsce". Polacy o swojem społeczeństwie nigdy nie myśleli mechanistycznie, jako o pojęciu statystycznem ze spisu ludności. To jest rzecz nowa, którą p. Sławek zawdzięcza socjalizmowi. Nic jednak dziwnego, że mężowi stanu trudno z tego stanowiska zrozumieć społeczeństwo, na organicznych zasadach historycznie ukształtowane. Ów Staszic, który mi się ciągle śni, a który w swoim czasie był dla Polski „miarodajnym i właściwym ideologiem", wiekopomnie się zaznaczył, określając społeczeństwo jako istność moralną: „Społeczeństwo jest jedną moralną istnością której członkami są obywatele" („Uwagi"). W socjologji ten pogląd należy do abecadła. Postacią moralnej struktury społeczeństwa jest naród, mający to, czego moralność wymaga, poczucie odpowiedzialności dziejowej, pamięć rzeczy przeżytych (historja), ambicję, honor, sumienie, swoje plany, swoje aspiracje. Należą do narodu ci, co tę wspólną moralność i psychikę mają. Społeczeństwo pozatem jest związkiem interesów, państwo jest instytucją prawną. To też ci moralizatorzy, którzy zwracali się do sumienia ludności, mieli na myśli naród. Mówiąc do narodu, adresować można do każdej jednostki patrjotycznej; na nic zda się prawić o moralnym obowiązku tym „ludziom, zamieszku-

jącym w Polsce", którzy nie poczuwają się do jej ustroju moralnego, którzy owszem idei Polski nie cenią, owszem jawnie głoszą, że należą do innego ustroju moralnego (jak żydzi, Niemcy A Polska, poczytująca się sama (w umysłach swoich sterników) za istność jedynie statystyczną, nigdy nie stanie się dla tych niewiernych atrakcją, owszem tracić będzie coraz na sile moralnej. Rzeczą bowiem przyrodzoną jest szukać organizacji moralnej; nie będzie jej u Polaków, powstawać będą uboczne.

— — — — — — — — — — — —

Ból moralny, jaki dzisiaj narodowi sprawiają dorywczy myśliciele złej szkoły, na tem polega, że Polacy od setek lat uważali się za istność moralną i pozwalali do siebie mówić odpowiednim językiem. Staszic nam mówił: „Dobry obywatel, jak nad własny majątek i życie przenosi kraju dobro i trwałość, tak, gdzie idzie o honor narodu, odważniejszym i tkliwszym jest, niżeli na honor swój własny".

Tylko na tej podstawie można z narodem rozmawiać i pracować, odwołując się do jego sił moralnych. Wtedy zagadnienia rozwikłują się prościej, nie trzeba długo zastanawiać się nad pytaniem, dlaczego w jakiejś dobie obywatel opuszcza ręce i mało robi. P. Sławek, jak przytoczyłem wyżej, głęboko się nad tem zastanawia, bo widocznie wskutek przeciążenia pracą publiczną nie zauważył, że obywatel tem bardziej ręce opuszczał, im więcej zmuszano go do „współpracy" symbolicznej. Faktycznie ustrój państwowy brał wszystko na swoje barki. Przecież p. Sławek te rzeczy zna zblizka i mógł przewidzieć, że w tych warunkach dla inicjatywy prywatnej zabraknie obywatelowi i siły moralnej i materji.

Mechanicznie do niczego nie dojdziemy. Twórczość państwa może wielkich rzeczy dokonać tylko w oparciu o żywą siłę narodu, który bierze na siebie odpowiedzialność moralną za rozwój cywilizacji. Nie trzeba się tego ani bać, ani wstydzić, że tą siłą moralną w Polsce jest naród polski. P. Sławek mógł się przekonać na losach swego Bloku, jak marnieje samo narzędzie „radosnej twórczości", pozbawione żywej siły, użyte tylko mechanicznie. Znaczną część mowy poświęcił sprawie sanowania tych, którzy mieli uzdrowić stosunki. „Za dużo" — stwierdza p. Sławek— „jest ludzi, którzy chcieliby za swoją pracę uzyskać jakąś zapłatę w formie orderu, posady, mandatu poselskiego, czy koncesji".

Staszic nawoływał do ofiary i cnoty w imię honoru narodu, jako istności moralnej, a w imię czego p. Sławek? W imię honoru „ludzi mieszkających w Polsce"? Honoru żydów?

Zostawmy na uboczu sprawy tak drażliwe dla honoru, jak kultura duchowa, wychowanie wogóle, obrona granic, potęga mocarstwowa; weźmy sprawy gospodarcze, dzisiaj tak dramatyczne. Czy jest obojętne dla państwa, jaki żywioł w kraju krzepnie materjalnie, a jaki niszczeje, czy jest obojętne kto staje się faktycznie właścicielem podmiotu dziejowego?

Ludzie ze szkoły socjalistycznej, zajmujący się w Polsce sprawami publicznemi ze stanowiska racji stanu, mają trudności nie do przezwyciężenia z powodu staromodnych przesądów na punkcie narodu. Można było wyminąć, nawet zwalczać ideję narodu, gdy chodziło o walkę klas, ale jak tę awersję do narodu pogodzić z rzetelną pracą dla dobra państwa? Zdawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale na polu rozwoju gospodarczego można swobodnie obejść się bez tej przykrej przesłanki politycznej, jaką jest naród, i traktować rzecz jako interes „wszystkich ludzi mieszkających w Polsce". Ale i to jest złudzeniem. Byli bowiem przed pp. Sławkiem i Starzyńskim „ideologowie miarodajni i właściwi", którzy i tę rzecz przemyśleli.

Między cieniami polskiemi z XIX wieku, które mnie dzisiaj, gdy to piszę, otaczają, wskazać mogę bardzo wybitnego myśliciela, Józefa Supińskiego. Zanotowałem sobie kiedyś bardzo ciekawą jego tezę:

> „Gdzie mimo niskiego stanu oświaty rzetelnej we wszystkich warstwach narodu, gdzie mimo powszechnego wstrętu do pracy mozolnej, gdzie mimo powszechnego braku oszczędności troskliwej a rozumowanej — pojawia się pewien rozwój, pewien postęp, tam niewątpliwie mienie krajowe narasta w ręku przybyszów i tych, co są obcymi wpośród rodaków; tam losy narodu nie zależą od niego, tam powstają bezowocne walki o zasady, tam jest początek rozkładu. Naciskam na te ostatnie prawdy, bo one są groźnemi wśród nas" [1]).

Ten postęp, o którym mówi głęboki myśliciel, niewątpliwie byłby dowodem pomyślności dla ideologa socjalistycznego, bo czegoż chcieć? — postęp jest. Ale niechże się w to wpatrzy polityk, odpowiedzialny za losy państwa: na czemże ma budować siłę mocarstwową? Na tych „przybyszach" (kapitały obce) i na tych „obcych" (żydach obojętnych na losy państwa)? Więc i polityce ekonomicznej trzeba się liczyć z tą kategorją, która się nazywa naród! Cóż robić, to jest siła żywa, siła moralna zestroju i wyrostu tej osobowości, co nosi miano Polski. Tego się nie wyminie, na tem trzeba się oprzeć, to trzeba pielęgnować i nie bać się tego, ani wstydzić.

— — — — — — — — — — — —

Sprawa jest dramatyczniejsza, niż to się wydawać może mechanikom i kombinatorom życia publicznego. Gdyby sprawy życia historycznego można było załatwiać mechanicznie przez dowolne kombinowanie podmiotu dziejowego, nie byłoby takich strasznych dramatów, jak te, które przeżywaliśmy na przełomie wieków z powodu rozbiorów. Hańba rozbiorów! Daremnie mówić o honorze do kogoś, kto nie wie, co hańba. Czy dla „wszystkich ludzi zamieszkujących w Polsce" rozbiory były hańbą? Bardzo je sobie chwalili ci właśnie, którzy dzisiaj nie chcą uznać praw suwerennych narodu polskiego.

Myśl wraca uporczywie do tych ludzi, którzy szli na śmierć z okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła", albo „Bóg mi powierzył honor Ojczyzny", Byli tam też legjoniści, hołdowali nawet ideom Wielkiej Rewolucji, ale przecież ginęli za wielką ideję, nie za interesy „wszystkich ludzi zamieszkujących w Polsce". Tą ideą był, jest i będzie Naród. I tylko w imię tej idei można przemawiać politycznie do ludzi, czy chodzi o śmierć i honor, czy o życie uczciwe i pracę.

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[1]) J. Supiński: „Pisma" (Lwów 1872), t. V, s. 84.

GŁOSY

JAKO JEDEN Z DOWODÓW WYŻSZOŚCI swojej rasy, żydzi przytaczają stale nadzwyczajne powodzenia swoje we współzawodnictwie z ludźmi białymi na każdem polu pracy umysłowej. A zdarza się również, niestety, że i pośród narodów, żydostwem nawiedzonych, dowód ten u wielu uchodzi za pewny i w oczywistości swojej wystarczający. Ale oczywistość, jak wiemy, niejednemu już błędowi za dowód prawdy służyła.

„Głosy", jako stała rubryka, nie są miejscem do rozważań ogólnych, ale dobrze nadają się do obrazowania spraw przykładami. Rozważmy zatem dwa przykłady powodzenia żydów w dziedzinie kultury.

Zestawmy oto następujący szereg danych: 1. Istnieje arcydzieło poezji — „Księgi puszczy" R. Kiplinga. 2. W literaturze polskiej istnieje przekład Czekalskiego „Ksiąg puszczy", który jest arcydziełem przekładów. 3. Kipling za „Księgi puszczy" otrzymał nagrodę Nobla. 4. Wychodzi w Polsce „Bibljoteka laureatów Nobla", wydawnictwo, mające uroszczenia do powagi i wytworności. 5. Przekład Czekalskiego jest w handlu księgarskim wyczerpany.

Zdawałoby się, że z zestawienia powyższych danych jeden tylko wniosek wynika — jasny i nieodparty: „Bibljoteka" poda czytelnikom „Księgi puszczy" w przekładzie Czekalskiego. Ale nie! Ktoś postarał się, iż wybrano lichy, chwilami wręcz niechlujny przekład „Ksiąg", dokonany kiedyś przez słabego nader tłumacza, p. Pika-Mirandolę, żyda z pochodzenia.

Drugi przykład: niejaki p. Józef Wittlin przełożył „Odysseję" na język nietyle polski, ile kabaretowo-nadwiślański, upstrzony komicznemi archaizmami. O jego znajomości języka polskiego świadczy wyjęty z jego przedmowy przekład maksymy rzymskiej: „*vivere non est necesse, navigare est necesse*", co znaczy: „niekoniecznie trzeba żyć, ale żeglować trzeba do końca". W przekładzie p. Wittlina brzmi to tak: „żyć nie jest koniecznie, żeglować jest koniecznie"... *ganznalewkisch!* Z przedmowy zaś do przekładu p. Wittlin z takim oto wysokim taktem korzysta, że ponad „Odysseję" w niej o całe niebo wyżej stawia Torę żydowską.

Zdawałoby się, że wobec takich wartości przekładu tłumacz nie znajdzie nakładcy polskiego. A jednak wydaje swoją „Odysseję" w „Instytucie wydawniczym im. Ossolińskich", a nadto uzyskuje życzliwy wstęp profesora uniwersytetu — Ganszyńca. Niejedno dziś wartościowe dzieło polskie leży w rękopisie z braku nakładcy. Ale żyd ma powodzenie...

Tak wygląda „wyższość" rasy żydowskiej w dziedzinie kultury duchowej. Należałoby teraz uważnie przyjrzeć się drogom, któremi żydzi do takich powodzeń dochodzą.

Z HUCULSZCZYZNY

ODDAWNA ciągnęło mnie w tamte strony. Lubię góry, bo są rozmaite, pełne niespodzianek. Góry żyją — bywają roześmiane i zachmurzone, niekiedy tajemnicze i groźne, niekiedy łagodne, kojące. Tylko w górach można jeszcze czasami odpocząć od ludzi.

Nareszcie tego roku wybrałem się nad Prut i Czeremosz — i nie doznałem zawodu. Widywałem niegdyś góry wspanialsze, potężniejsze; ale te są niemniej malownicze. Aby mieć pojęcie o malowniczości tego zakątka Polski, wystarczy przejść się wzdłuż granicy od schroniska na Przełęczy Tatarskiej do stacji Woronienki. Jest to prześliczny spacer. Po naszej stronie ciągną się połoniny, po stronie słowackiej przeważnie lasy; urocze, rozległe widoki cieszą oczy przez cały czas łatwej, niemęczącej wędrówki. Kto trochę wytrwalszy, niech zrobi taką (całodzienną) wycieczkę: rano niech wyjdzie ze schroniska na Zaroślaku na szczyt Howerli (2058 m.), a potem, nasyciwszy się widokami na wszystkie strony świata, niech ruszy, wzdłuż granicznych kamieni, grzbietem Czarnohory. Jest tam naprawdę bardzo pięknie. Im więcej oddalamy się od Howerli, tem potężniej rośnie nam w oczach jej szczyt stożkowaty, wyniesiony ponad inne. Od Turkuła spotykamy bezładnie porozrzucane skały, małe turniczki, które nieco dalej nabierają kształtów dziwacznych i fantastycznych. W dole błyska „niesamowite jeziorko"; w przejmującej ciszy pasie się tam kilka koni, pozatem pustka zupełna. A bywało tu niegdyś całkiem inaczej! Świadczą o tem opuszczone okopy, pracowicie wygrzebane w skalistym gruncie, nawpół rozwalone schrony, resztki kolczastego drutu, nadgniłe belki. Teraz, dzięki Bogu, jest cicho i nikogo niema.

Od tego miejsca możnaby iść dalej, na szczyt Popa Iwana; ale my od Szpyci zeszliśmy w dolinę, koło potoku, i zatrzymaliśmy się na noc w jednej z pierwszych chat Bystrzca, gdzie następnego dnia miał być odpust.

Pierwszy raz w życiu nocowałem w chacie huculskiej, w alkierzu (komorze), na twardym tapczanie, zasłanym pięknym, włochatym kocem-tyżnikiem, roboty gospodyni. Wokoło wisiały na drążkach świąteczne obleczenia: bogate białe serdaki z wyszyciami i aplikacjami, kapelusze z różnobarwnemi otokami, chusty i t. p. Na półkach oryginalnie zdobione gospodarskie naczynia.

Ten lud lubi i umie się stroić; czego się to nie oglądało następnego dnia, w niedzielę, koło cerkiewki! „Czerwony pas, za pasem broń i topór, co błyska zdala" — to już legenda; tak bywało, zapewne, za czasów zbójnika Dobosza. Nawet czerwone spodnie wychodzą z użycia; ale co za serdaki! co za pasy i torby, nabijane błyszczącym metalem! co za hafty na koszulach! co za paciorki! Jeszcze się trafiają — u starych gospodyń — weneckiej roboty, bodaj z 17-go wieku. Częściej widuje się naszyjniki z austrjackich guldenów. A jakie ciekawe twarze, jak charakterystyczne, jak nieraz piękne! Wszystko to mieni się, połyskuje, gra w słońcu, na tle gór, na soczystej zieleni wiejskiego cmentarzyka. Za ogrodzeniem kramy z odpustowemi różnościami, zawodzące dziady, tłum kolorowy i gwarny.

Huculi mają podobno wiele wad; słyszałem raz, jak wypominał je im ksiądz w stylowej, drewnianej cerkiewce w Jamnie, uprawiając przy tej okazji wielko-ukraińską agitację. Ten piękny lud, tak cudownie sharmonizowany z otaczającą przyrodą, mieszanina różnych szczepów, ma coś ze Wschodu: zmysłowość, skłonność do uciech, do wystawności. Pijaństwo, rozpusta, życie nad stan —

oto ich grzechy główne. Są lekkomyślni — może dlatego, że mają dusze artystów? Czy też dlatego, że są tak dziwnie pierwotni?

Może nigdzie w Polsce pasożytnictwo żydowskie nie występuje tak jaskrawo, jak na Huculszczyźnie. Aby się przekonać, trzeba z ohydnie zażydzonych miejsc kuracyjnych—z Jaremcza i Worochty — udać się tego kraju. Nie zapomnę słów starej kobiety w Żabiem: „U nas żyd panuje — my naród prosty — tak oni nas zaichały". W Żabiem, tej olbrzymiej wsi, ciągnącej się dziesiątkami kilometrów, niema innych sklepów i gospód, tylko żydowskie. Różne Pinkasy i Steinery trzymają huculów — zadłużonych po uszy — w prawdziwej niewoli. Czy Polska niema na to rady? Czy nie potrafimy wyrwać tego ludu — tak oryginalnego i — co ważniejsze — naszego ludu — z pazurów lichwiarzy i wyzyskiwaczów? Nie dość zwozić do Warszawy huculską ceramikę i łyżniki; trzeba do tych ludzi wyciągnąć bratnią dłoń — i ratować.

INQUIRER

NAUKA i LITERATURA

FUNDACJA DLA PISARZY POLSKICH

Dowiadujemy się, że p. Tomasz Buczyński, właściciel majątku ziemskiego Ciężkowice pow. Radomskiego, zasłużony od lat szeregu działacz oświatowy, prezes miejscowego Oddziału Polskiej Macierzy Szkolnej, w testamencie swym, sporządzonym jeszcze przed paru laty, zapisał wspomniany majątek ziemski na rzecz Fundacji, której zadaniem ma być utrzymywanie domu wypoczynkowego dla literatów i publicystów kierunku narodowego. Fundacja nosić ma nazwę imienia Ignacego Paderewskiego, którego wielkie zasługi dla kraju fundator chciał w ten sposób uczcić.

Aczkolwiek przeżywany kryzys gospodarczy sprawił, że majątek Ciężkowice znalazł się chwilowo w dość trudnej sytuacji finansowej, jednak p. T. Buczyński czyni wszelkie kroki i zabiegi, by trudności te przezwyciężyć i majątek dla Fundacji, choćby w zmniejszonym rozmiarze, utrzymać i ma nadzieję, że wysiłki jego w tym kierunku będą skuteczne.

Szlachetnemu ofiarodawcy życzymy spełnienia tych zamierzeń.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W rubryce „Na widowni" w Nr. 22 z r.b. wspomnieliśmy, że zamało upamiętniony jest w dziejach naszej literatury Władysław Matlakowski, słynny lekarz, autor dzieła o „Hamlecie" oraz prac o sztuce ludowej na Podhalu. Dr. Aleksander Maciesza z Płocka z tego powodu przypomina nam, że „obszerny i piękny życiorys Matlakowskiego, pióra D-ra Józefa Peszkego, znajduje się w wydawnictwie Kasy Mianowskiego: Wł. Matlakowski. Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu". Warszawa. 1901 r. Wydanie pierwsze (wyczerpane). Przy drugiem wydaniu z r. 1915 życiorysu nie podano".

Otóż szkoda, że takie wydawnictwa po wyczerpaniu nie są wznawiane. „Zdobienie i sprzęt" oraz „Budownictwo na Podhalu" są ciągle poszukiwane, potrzebne są bowiem szkołom rzemieślniczym. Obie te książki — jak słychać — mają być teraz razem wydane przez Kasę im. Mianowskiego, która prawa autorskie do nich nabyła.

Czynione są również starania, aby Instytut Literacki wydał ponownie studjum o Szekspirze Matlakowskiego. Kapitalne to dzieło ze wszech miar na to zasługuje, a teraz dobra jest pora w Polsce dla Szekspira. Widać to z zainteresowania, jakie budzi każde przedstawienie jego utworów. Do popularyzacji Szekspira przyczyniła się niemało doskonała książka o nim prof. Władysława Tarnawskiego.

W dn. 26 czerwca 1935 r. upływa czterdzieści lat od śmierci Władysława Matlakowskiego. Byłoby dobrze, aby na ten czas ukazała się bodaj zapowiedź jakiejś monografji o znakomitym lekarzu i pisarzu, a w każdym razie na ten czas powinny być wydane oba wyżej wymienione dzieła.

*

Stosując się do niezbyt mądrego, choć przyjętego zwyczaju szukania łatwych analogji w dziedzinach, w których niema wogóle analogij, możnaby P. G. Wodehouse'a nazwać „angielskim Makuszyńskim". Popularność jego w kraju ojczystym znacznie przewyższa pokaźną poczytność naszego, ulubionego, humorysty. Płodnością bije go o głowę, zbliżając się do rekordzisty Edgara Wallace'a. Bije go też lekkością stylu i pomysłowością zawikłań akcji. Jeżeli przyszło mi na myśl podobieństwo, to znalazłem je w sentymentaliźmie i szablonowości, a także w pewnej łatwiźnie dowcipu u obu. Dzieli ich przepaść, dzieląca charaktery narodowe. Wodehouse jest sentymentalny, ale nie w dowcipie. Ten jest czasem cięty i porywa się niekiedy na zupełnie niezłą satyrę. Bardzo angielski, oparty jest na nonsensie i naiwności.

Trzeba nieraz wielkiej kultury, aby umieć się śmiać z nonsensów, a nie wzruszać gniewnie ramionami, mówiąc: „jakie to głupie". Humor angielski niezawsze trafia do gustu naszemu czytelnikowi, nie pamiętającemu jak wygląda polski humor, a kształconemu na wiedeńskiej operetce i francuskich „kawałach". Jednakże i angielscy humoryści, a wśród nich i Wodehouse, czasem docierają do nas. Po dwu powieściach, drukowanych w odcinku „Gazety Warszawskiej": „Grube pi niądze" *(Big Money)* i „Ptaszek z Piccadilly" *(Piccadilly Jim)* mamy świeży przekład powieści „Miłość i Skarabeusz" (wyd. Globus, Lwów). Powieść ma niewątpliwie w oryginale wszystkie najlepsze cechy twórczości Wodehouse'a i jest niezłą, choć dość nieskomplikowaną satyrą na arystokrację angielską. Przekład niejakiego Marcela (?) Marka czyni ją arcydziełem szmoncesu, z pod którego przegląda nieśmiało angielski autor. „Nie wiem skąd się ten przedmiot wziął do tego schowku" (str. 71), „sprobował iść na omacku dalej" (str. 79), „myślałem właśnie nad tem, jak odpalić się panu" (str. 84) — oto bardzo charakterystyczne próbki stylu książki. Efektownie wygląda zdanie: „Czy słyszała pani odgłosy kotów, ścigających się na podwórzu" (str. 155), albo: „wypiął dumnie pierś i rozkraczył nogi, jak oryginalny Colossus" (str. 140). Oczywiście o znajomości angielskiego, choć w przybliżeniu, niema mowy. Ale o to już mniejsza. Polszczyzna przekładu kwalifikuje książkę do śmietnika. A to krzywda dla poczciwego Wodehouse'a. (A. M).

TEATR

„MARCHOŁT"

Z listu p. Marji Kasprowiczowej wyjmujemy ustęp, dotyczący wystawionego w teatrze lwowskim „Marchołta".

NIE MOGĘ nie podzielić się z Panem swoją radością. Wie Pan już pewnie z pism, że w pierwszych dniach października była we Lwowie premjera „Marchołta". Wypadła wspaniale. Nie spodziewałam się, że teatr lwowski potrafi dokonać takiej rzeczy. „Marchołt" w odpowiedniej reżyserji okazał się dziełem *par excellence* scenicznem. Zyskał na skrótach. Nabrał wyrazu i plastyki. Radulski (reżyser) potrafił, dając ujęcie realistyczne, podkreślić równocześnie charakter mistyczny. A olbrzymie świecące koło zodjaku, zawieszone ręką dekoratora (Daszewskiego) nad całą akcją, łączyło magicznie sprawy ziemskie ze światem niewidzialnym: zmieniało ono barwy w zależności od treści każdej z poszczególnych odsłon.

Rolę tytułową grał młody aktor, p. Kaczmarski. Zagrał ją z talentem, świetnie. Było to dla mnie niespodzianką, bo byłam pewna, że tylko Jaracz może zagrać tę rolę. Cały zespół był na wysokości zadania. Mogłabym o tem pisać bez końca. Byłam na przedstawieniu cztery razy i zawsze wychodziłam z teatru jak odurzona. „Marchołt" należy niewątpliwie do sztuk wielkiego repertuaru polskiego. Moja wiara w niego nie była iluzją. Powinne go grać wszystkie sceny polskie. Przedewszystkiem powinna zagrać go tej zimy jeszcze Warszawa. Lecz jak ich przekonać?

„Marchołt" tylko przez teatr może trafić do serca ludzi. Ma w sobie potężną siłę dynamiczną. Powinienby odegrać rolę budziciela sumień. Niestety, ludzie są teraz przyzwyczajeni patrzeć na teatr jak na rozrywkę, nie jak na miejsce, gdzie można doznać wewnętrznego oczyszczenia.

MARJA KASPROWICZOWA

MUZYKA

PRZYJAZD do Warszawy Józefa Hofmanna stał się wydarzeniem artystycznem w pełnem tego słowa znaczenia. Jeszcze podczas wieczoru inaugurującego sezon orkiestry filharmonicznej, podczas którego artysta grał koncert *e-moll* Chopina, na sali było pustawo; Warszawa nie przypomniała sobie jeszcze wówczas genjalnego pianisty, który przecież tak dawno ją opuścił. Co innego było już na trzech następnych recitalach, z których na szczególną uwagę zasługuje ostatni, poświęcony w całości Chopinowi.

Odrazu pierwsze takty ballady *as-dur*, którą rozpoczął swój koncert, zwróciły uwagę na jedno — na to, że Hofmann gra zupełnie inaczej, aniżeli wszyscy, których mamy okazję słyszeć.

W traktowaniu Chopina jak zresztą każdego innego, z wyjątkiem współczesnych, kompozytora, widać zwykle dwa sposoby. Jeden stara się interpretować, przepuszczać wykonywany utwór przez indywidualny filtr odtwórcy, grać tak, jak się odczuwa, czy rozumie, drugi cały wysiłek wkłada w szukanie „klasycznego“, najmniej fałszywego odtworzenia. Na czem ono polega — trudno nieraz doprawdy ustalić. Wydaje mi się, iż najczęściej na tradycji. Kwestja tylko, skąd bierze początek owa odtwórcza tradycja. Jeśli w prostej linji od kompozytora, zawierać może jeszcze rzeczywiście najmniej fałszu, chociaż... tyle nas lat dzieli od czasu, w którym żył np. Chopin, tacy już dzisiaj jesteśmy inni, że nasze, współczesne stadjum tradycyjnego poglądu różni się z całą pewnością od jego początku. Często jednak początek ten ma swoje źródło już w interpretacji wybitnego odtwórcy. W tym wypadku „klasycyzm“ wykonania ma wartość jeszcze bardziej wątpliwą.

Hofmann przystępuje do instrumentu i poczyna grać, tak poprostu poczyna grać. Niema w tem ani cienia jakiegoś snobizmu, wydobywania czegoś, o czem się Chopinowi nawet nie śniło, a tylko to, doprawdy genjalnie „poprostu“, które wydobywa świetną, doskonałą techniką, nie pchającą się zresztą nachalnie na plan pierwszy, ale służącą skromnie istotnemu celowi.

W grze swojej odrzuca artysta ów ogromny przychówek legend, bajęd i niewydarzonych historyj, które związane są z każdym niemal utworem Chopina. Słuchając walca *des-dur* wcale się nie odnosiło wrażenia, że jest on osnuty na tle kręcenia się psa wokół własnego ogona, jak chce koniecznie jedna z nich...

Wykonanie zaraz bezpośrednio po balladzie *as-dur*, mazurka *as-dur* i walca *e-moll* rzuciło niespodziewane światło na te utwory. Hofmann nie potraktował ich jako romantycznych poemacików. Dla niego decydującą rolę odegrała tutaj forma, w tym wypadku forma taneczna. Wyraźne zaznaczenie rytmu w walcu wydawać się mogło początkowo nam, nieprzyzwyczajonym do takiego traktowania, nawet pewnego rodzaju strywjalizowaniem utworu, w rezultacie jednak dało efekt niezwykle mocny i chyba najprawdziwszy. Żaden z granych tego wieczora walców, mazurków, polonezów nie rozpływał się w fałszywem najczęściej roztkliwieniu, w którem niemęsko rozłazi się forma, jak to się nam często zdarza słyszeć. Już nawet jesteśmy potrosze do tego przyzwyczajeni, że dusza Chopina jest cała skąpana we łzach i chorobliwem nieledwie przeczuleniu. I nawet sobie nie wyobrażamy, jak krzywdząco redukujemy wówczas postać twórcy do rzędu jednego z reprezentantów czułostkowego romantyzmu, jakim przecież stanowczo nie był.

W interpretacji Hofmanna uwydatnienie formy tanecznej dodało jędrności granym utworom, nie roniąc przytem nic a nic z poezji. Przeciwnie — skontrastowanie rytmu z motywem prawej ręki, dało w rezultacie pełną całość, potęgując jeszcze wrażenie.

Nie będę w tej chwili dociekał, ile w takiem traktowaniu było świadomości grającego, wydaje mi się jednak, że ogromną rolę odegrała tu owa, podkreślana już zresztą zupełnie słusznie, intuicja artysty, kierująca go na tę, a nie inną drogę. Intuicja ta w niczem nie umniejsza wartości sztuki odtwórczej — w niej przecież tkwi ów przejaw genjalności, tej samej, której skończonym wyrazem był Chopin. I dlatego koncert Hofmanna poświęcony jego twórczości nosił znamiona takiej prawdy.

Oprócz wymienionych wyżej utworów artysta podczas swego ostatniego wieczoru grał jeszcze *impromtu ges-dur*, *scherzo h-moll*, nokturn *h-dur*, etiudy *cis-moll*, *des-dur* i *c-moll*, fantazję, barkarolę *fis-dur*, dwie pieśni w układzie Liszta, *antante spianato*, i poloneza *es-dur*, hojnie sypiąc naddatkami, tak, iż się zdawało, że koncert trwa w nieskończoność.

Przyjazdowi artysty Warszawa zawdzięcza jedno z najsilniejszych swych artystycznych przeżyć.

W. NARUSZ

FILM

APOLLO: „Wiosenna Parada”, reż. Geza Bowary, muzyka Stolza.

Kapitałem zakładowym tego filmu jest wiara w sentyment, jaki może żywić publiczność do starych walczyków (ach, ten walca czar...), do przedwojennego „Widnia”, „nad pięknym, modrym Dunajem”; słowem do tego wszystkiego, co tyle razy słyszeliśmy i oglądaliśmy w rozmaitych, mniej lub więcej melodyjnych, operetkach. I chociaż całość nie sili się na rytmikę wyraźnie operetkową, tem nie mniej duch operetki wiedeńskiej unosi się nad filmem, obiecując niewinną i miłą rozrywkę i prosząc zarazem, by pewnych sytuacyj nie brano zbyt serjo.

Z filmowego punktu widzenia niewiele tu mamy do zanotowania, jednakże trzeba przyznać, iż całość zmontowano zręcznie, umiejętnie przetasowując poszczególne scenki, tak, jednocześnie, by żadna nie przebywała zbyt długo w polu widzenia. To też, optycznie rzecz biorąc, tempo filmu jest dość wartkie, bardziej szybkie, niż sama posuwistość akcji.

W roli rezolutnej węgierskiej wieśniaczki, która szybko robi w mieście karjerę, zdobywa ukochanego, a nawet uzyskuje audjencję u samego cesarza,—Franciszka Gaal. Aktorka ta, o niewątpliwym wdzięku, dała się poznać naszej publiczności w filmie „Csibi”, który wyświetlano bez mała kilka miesięcy. Tak szybko zdobyta popularność artystki zapewne zdecydowała, przed innemi względami, o pokazaniu następnego z nią filmu.

ŚWIATOWID: „Wesoła Zuzanna”, film amerykański.

Najlepszym pomysłem w tym filmie jest wprowadzedzenie na ekran marjonetek. Człowiek zarezerwował sobie główne role aktorskie, lecz jakże często człowieka dystansuje aktor-zwierzę, a w tym wypadku — marjonetka. Sceny z marjonetkami należą do najciekawszych i najbardziej wyrazistych i żałujemy, że w filmie niema ich więcej. Marjonetki są duszą utworu, choć to bezduszne kukły; są ekstraktem kinetyczności i sprężyną całej akcji.

A oto szkic treści: pewien teatr wystawia rewje: oszołamiające przepychem i bogactwem, lecz w gruncie rzeczy banalne widowiska dla zamożnych głupców; obok istnieje mały teatrzyk marjonetek, dla spragnionych prostej, lecz szczerej uciechy. W teatrze rządzi wszystkiem *business*, w teatrzyku — miłość dla sztuki. W teatrze występuje tancerka, b. zdolna, ale nieporadne stworzenie, wyzyskiwane przez swego impresarja, właściwie niebieskiego ptaka. W teatrzyku marjonetek pracuje młody artysta, autor kukiełek. Artysta i tancerka kochają się. I film to właśnie współzawodnictwo ludzi i kukiełek. Tancerka jest zazdrosna o artystę, gdyż sądzi, że marjonetka odbiera jej miłość chłopaka, oddanego swej sztuce bez reszty. Ten motyw zazdrości kobiety o dzieło artysty, do którego ona pozowała, nie jest tu wyraźnie naświetlony (podobne zagadnienie, ale już poważnie, porusza Zola w powieści pt. „Dzieło”).

Film, o nader szczęśliwym i świeżym pomyśle, nie wyzyskał go w pełni, nad wielu ciekawszemi momentami prześlizgnął się zbyt pobieżnie, nie wygrywając wszystkich atutów, wiele kwestyj ujął niezupełnie zręcznie. Niezdecydowany jest również ton utworu: ani bez zastrzeżeń komedjowy, ani wyraźnie dramatyczny. Zuzanna, Liljan Harvey, nie jest tu wcale wesoła.

Mimo te usterki, film, dzięki marjonetkom, warto bezwzględnie zobaczyć.

KANDYD

OFENSYWA

OKAZ CZY FENOMEN?

NA CZELE dzisiejszej Francji, narodu, jak wiadomo, katolickiego, stoi obecnie protestant, znany powszechnie „mędrzec z Tournefeuille”, „Gastonnet”..., na czele zaś Niemiec, rezydujący w stolicy Prus protestanckich i w siedzibie arcyluterskiego „Gustaw-Adolf Verein” — katolik Adolf Hitler.

O tym ostatnim dużo w ostatnich czasach wynotowaliśmy nowych publikacyj. W języku angielskim i francuskim wychodzi o Hitlerze jedna książka tygodniowo. Nie należy tego zatajać, że w odniesieniu i wartościowaniu w tym roku (sezonie) przeważnie są raczej życzliwe i przychylne. Mocno się odmieniło przez przeciąg roku 1934, wbrew wszelkim horoskopom czynników, że tak powiemy, zainteresowanych. Oczywiście, pojawiają się nadal i głosy ujemne, nawet potępiające, ale i te ostatnie omawiają i obmawiają tylko doktrynę, ale już nie tykają człowieka.

Z jesiennych francuskich publikacyj zasługują na wyszczególnienie Laurenta *„Le National-Socialisme vers le Troisième Reich”* (Hachette), Paul Ferdonnet: *„Face à Hitler”*, Baudiniere Editeur (317 stron) i ciężki paszkwil pseudonimu „Fratero” *„M. Hitler Dictateur”* (L'Eglantine Editeur) w obronie Rathenau'a, Stresemanna i Weimarczyków. Dodanie do pseudonimu „Fra” (Brat) zaznacza zgóry, że autorem jest jakiś mszczący się mason. Tego samego typu jest też *„De Weimar au Chaos”* tłumaczony z niemieckiego manuskryptu pamiętnik pono jenerała von Bredow w obronie najantypatyczniejszej postaci poprzedniego *Reich*'u, to jest gen. Schleichera, najzacieklejszego wroga Polaków, wstrętnego judoliza, intryganta, matacza, szantażującego politycznie feldmarszałka Hindenburga.

Z angielskich publikacyj przedewszystkiem wymienić należy dwie książki antyhitlerowskie księcia Hubertusa Loevensteina: *„The Tragedy of a Nation”* i *„Alfred Hitler Fall”*. Hubertus nic nie ma wspólnego z naszymi Loevensteinami i wogóle Loevensteinami w. M. Pochodzi ze starego katolickiego rodu bawarskiego, ale mocno przemieszanego (babka Francuzka, pradziadek Anglik, lord Pirbright), coś tam było i z „naszych”, no i to się oczywiście odbiło i w trzeciem pokoleniu i książątku (podobnie jak Coudenhuve-Calergis) w głowie pomieszały się wszystkie ideje i doktryny. Należał do Centrum Katolickiego, a teraz mieszka w Londynie i miota na Berlin swojemi książczynami. Chce wznowienia „Świętego Cesarstwa Imperjum Rzymskiego” (*sic*), połączenia Austrji z Niemcami, katolickiej cesarskiej nowej dynastji i t. p. Tymczasem Hubertus ciska się na Adolfa, którego zna osobiście jeszcze z Monachjum, jakiś czas był adoratorem, nigdy atoli nie przypuszczając, że człowiek, który zaczął od piwiarni (*Bräuhaus*), zrobi tak oszołamiającą karjerę.

Podobnie jak książę, ciska się też baron, tym razem Montefiore L. G. ze znanej familji Geldhabów. Wydał broszury: *„The Jews in Germany. Faces and Figures”*, w której z dużą, ale zrozumiałą niechęcią traktuje fenomen *Führer*'a. Jeszcze zajadliwszą jest babina Dorothy Woodman. Niema szczęścia do Dorot Adolf z Hitlerów rodu. Niedawno była tu Dorothy Thomson (*ex-żona* Dreisera), która wyałana do Berlina przez żydostwo nowojorskie („kobiecie nic nie będzie śmiał zrobić”), po aroganckiem zachowaniu się została przykładnie odstawioną do granicy. A teraz ta Dorothy Woodman, „działaczka”, była sekretarka osławionej *„English Union of Democratic Control”* (*sic*). Książka Doroty nosi tytuł: „Hitler pcha do wojny” i powtarza to wszystko, co przez rok wypisywali słynni publicyści w dziennikach, subsydjowanych przez Armstrongów, Vickersów, Creurotów, Schneidrów, Skoda, Fiat etc.

Korzystniej dla „niemieckiego Cromwella” usposobiony jest E. O. Knight: *„In Defence of Germany”* (Fetter), a jeszcze pono ciekawsze jest amerykańskie „podejście” do Hitlera ze stanowiska psychoanalizy starego Freuda. Dokonał tego dziennikorz John Morrow i zrobił pono na tem „dziele naukowem” (*sic*) kokosowity interes.

Co tedy z tych i z jeszcze innych publikacyj wyszło nowego na jaw pod światło prawdy o Hitlerze?

Przedewszystkiem więc to, że... nie jest... żydem, ani też nie ma w sobie jednej uncji (1%) krwi semickiej. A tak utrzymywał o nim 1% ludzkości. Chcąc mu dokuczyć odrazu piekielnie, powiedzieć o nim coś najnegatywniejszego, a przedewszystkiem, podważyć zaufanie mas, czy zwolenników, odrazu w styczniu ogłosili *unisono*, że to też żyd (*„auch Jude”*), skomponowali na poczekaniu całą genealogję i podali świadków z rodziny. I u nas w to uwierzyli Hirschorn, Wasserzug (Iksyon) i rabbi Thon. O niejednym Adolfie rozpuszczali to najmilejsi, i nie jeden Adolf proponował im za to pocałowanie tam, gdzie trzeba, z taksą po 10 dolarów na *Keren Kajemeth*...

Okazało się więc teraz i o Hitlerze, że z pochodzenia przeciętny, pospolity Arja, czy raczej Parja. Ojciec Alojzy był trzy razy żonaty. Typ podobny do *„Meister Anton”* z dramatu Hebbla, w którym Hebbel surowo skonterfektował swego twardego ojca. Alojzy Hitler był 3 razy żonaty. Z trzeciej żony, chłopki Klary Pebrl, był syn Adolf i córka Paulina, zmarła. Z rodzeństwa pozostała przy życiu przyrodnia siostra (z pierwszej żony) Aniela, znacznie starsza.

Z tą siostrą Anielą mieszka prezydent Hitler w trzech pokojach pałacu prezydenckiego w Berlinie. Ona prowadzi mu gospodarstwo.

Gospodarstwo jest skromne, powiedzmy sobie, raczej spartańskie, anachoreckie, eremickie.

Adolf Hitler bowiem nie pije nigdy żadnego alkoholu i nie pali żadnego tytuniu.

Adolf Hitler jest jaroszem, czyli wegetarjaninem, to znaczy nie jada mięsnych potraw.

Adolf Hitler nie poluje.

Nie żyje życiem seksualnem. Jest zakonnikiem. *Célibataire.* W tym kierunku nic się nie da wyszukać, ani niema żadnej legendy. Robiły żydy wszystko, co mogły, i nic się nie dało. John Morrow tłumaczy to po Freudowsku: „Kompleksem Edypa”: że nienawidził ojca tyrana (alkoholika), a kochał tylko matkę i że tylko z zemsty nad ojcem został wielką i historyczną postacią. Egzegeza często semicka...

Zabawny jest w naszym „Robotniku” *jewsekt* z za tapety (B. d.), zbierający *guano* po różnych śmietnikach i gnojowiskach prasowych o Hitlerze. Niechżeż raz zafunduje sobie i przeczyta coś poważnego to B. d.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Akademja Literatury, jak już donosiliśmy w tem miejscu, wielki ma kłopot ze sprawą spadku po Norwidzie. Po upływie 50 lat od jego śmierci dzieła wydał w całości Pini. Postąpił w dobrej wierze, że ma do tego prawo. Aliści akademik Przesmycki, b. minister kultury i sztuki, wyciągnął z kieszeni dokument, że on jest właścicielem prawnym tych dzieł, bo on je kupił za 100 rubli w r. 1909, kiedy był redaktorem „Chimery”, a potem, kiedy był ministrem kultury i sztuki, wydał dodatkowe prawo, przedłużające ochronę prawa autorskiego o lat dziesięć.

Akademji Literatury spadł kamień z serca, bo już sąd okręgowy zajmie się tą sprawą tak zawiłą. Stało się, jak oceniał rzecz ak. Kleiner. Norwid stał się dodatkową rzeczą do Przesmyckiego komentarzy, tembardziej, gdy ten do nich dorzucił 100 rubli.

Cały ten skarb nieoszacowany, o którym w komentarzach tyle mówił Przesmycki, kupiło się po cichu w chwili stosownej—za 100 rubli. Co to znaczy mieć węch krytyczny!

Tak samo w Paryżu dzieje się na giełdzie obrazów. Znawca skupuje płótna obranego malarza, chowa je i śrubuje cenę. A gdy przyjdzie chwila stosowna...

*

Dnia 30 z. m. odbyła się Akademja Esperancka, urządzona staraniem Stowarzyszenia Esperantystów (Leszno 56). Jak doniosły dzienniki, na program złożyły się: przemówienie prezesa Warsz. Stow. Esperantystów, p. I. Dratwera, oraz część recytacyjno-koncertowa z udziałem pp.: Hanny Dicksteinówny, Hanny Kifflówny, Beli Słusznej, Berty Starkopfówny...

A teraz skromne pytanie: czemu to szanowni esperantyści, tak między sobą, nie porozumiewają się poprostu żargonem?..

*

Poczciwy „Robotnik” szerzy wśród swych czytelników ideję, którą przed kilkudziesięciu laty często znajdować było można w powieściach dla młodzieży, pisywanych przez Juljusza Verne'a i jego naśladowców, mianowicie, że postęp w dziedzinie środków komunikacyjnych usunie dzisiejsze granice między narodami, by na to miejsce utworzyć przyszłe „Stany Zjednoczone Ludzkości...” „Robotnik” twierdzi, że „rozwój lotnictwa znosi granice państw” i konkluduje z emfazą, iż czas już jest najwyższy, aby zacząć „wychowywać ludzkość na obywateli świata”.

Mamy więc wskazówkę, równie szlachetną jak praktyczną: oderwać się od gruntu ojczystego, do którego przywiązuje nas „ciasny nacjonalizm”. W nagrodę staniemy się obywatelami... świeżego powietrza...

TREŚĆ:

Polska i Węgry *K. S. Frycza.* — Kompetentny głos przestrogi *W. Komarnickiego.* — Literatura starochorwacka *S. Kotwicy.* — Nowe rzeczy o Szekspirze *Longworth Chambrun.* — Słowo o rymach *St. Pieńkowskiego.* — W dzień Zaduszny *A. Chojeckiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Z Huculszczyzny *Inquirera.* — Nauka i literatura. — Teatr *M. Kasprowiczowej.* — Muzyka *W. Narusza.* — Film *Kandyda.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM